Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 24 (1864) ● 12–18 czerwca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



PREZYDENT WIESZA BANDERĘ

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl b1eaaf6b5b

WOJNA DOMOWA

Po tym jak prezydent Zełenski nadał jednej z ukraińskich jednostek imię „bohaterów UPA”, polska klasa polityczna stanęła wobec dramatycznego wyboru: co jest gorsze – mordowanie polskich dzieci widłami czy Rosja. Decyzja jeszcze nie zapadła, ale atmosfera robi się gorąca. Do pieca dorzucił wiceminister edukacji Andrzej Szeptycki, który ogłosił, że UPA „to byli tacy trochę – ze wszystkimi pozytywnymi i negatywnymi konotacjami tego słowa – ukraińscy żołnierze niezłomni”, na co politycy PiS i red. Gawryluk z Polsatu odpowiedzieli lustracją etniczną, z której wynikło, że Szeptycki to Ukrainiec. Pragniemy wystąpić w obronie prof. Szeptyckiego i jego porównania. Skala zbrodni UPA i NSZ była oczywiście nieporównywalna, ale ich motywacja – zwierzęcy nacjonalizm usprawiedliwiany nienawiścią do Ruskich i lewicy – jest dość podobna.

Na pozbawiony prezydenta Kraków opadła szarańcza polityków. KO ponoć urządziła łapankę wśród rektorów lokalnych uczelni: na celowniku byli prof. Andrzej Szarata z Politechniki Krakowskiej i prof. Jerzy Lis z Akademii Górniczo-Hutniczej, ale obydwaj się wyłgali. Wobec czego padło na senator Monikę Piątkowską, która urodziła się w Zakopanem, a mieszka w Warszawie, ale w międzyczasie zdążyła skończyć Uniwersytet Jagielloński. Zdążyła też kandydować z SLD, PSL i Polski 2050, jest zatem idealną kandydatką Koalicji Obywatelskiej na prezydencicę Krakowa. Kandydatka została zaprezentowana w ogrodach Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, która mieści się, trzeba trafu, w Warszawie. Lokalne struktury KO dowiedziały się o tym namaszczeniu z telewizji, bo – jak powiedział Tefałenowi jeden z krakowskich polityków KO – „nie ma litości dla przegranych”. Donald Tusk hasło „Nie przenoście nam stolicy do Krakowa” wziął chyba nazbyt dosłownie.

Jacek Sasin założył PiS-owi drugie płuco w postaci stowarzyszenia „Po Pierwsze Polska”. Sasin został jego prezesem, ale z pewną nieśmiałością. „Tak to z prawa wynika, że się nazywam prezesem, ale przede wszystkim i ja, i ci wszyscy, którzy przyłączyli się do tego stowarzyszenia, uznają jako najwyższe kierownictwo tutaj pana prezesa i deklarują absolutnie pełną lojalność” – tokował do kamery wyraźnie przerażony. No, nie wiemy… Było już kiedyś stowarzyszenie o nazwie „Polska Jest Najważniejsza” i wcale dobrze nie skończyło. Proponujemy zmienić nazwę na „Po Pierwsze Prezes”.

W przyszłym roku rząd chce podnieść płacę minimalną o 144 zł. czyli 3 proc. – do 4950 zł brutto. To poniżej inflacji i oczekiwań związków zawodowych, ale przecież nie o to chodzi w rozwoju kraju. Jak ujął to niezastąpiony poseł Petru: „Płaca minimalna już bardzo mocno wzrosła i wydaje mi się, że tych wzrostów już wystarczy. Ważne, żeby nasze płace, tych, którzy pracują nie na minimalnej, ale na tych normalnych, żeby one rosły”. Doceniamy fakt, że nawet anarcholiberał, jakim jest Petru, zauważa, że płaca minimalna nie jest „normalna” – ale w tym miejscu warto odnotować, że za najniższą krajową haruje w Polsce 1 580 000 osób. I to nie wszystko: GUS akurat opublikował medianę zarobków. W małych i średnich firmach – ukochanym podmiocie wszystkich polskich liberałów – mediana ta wynosi 4666 zł brutto. Co oznacza, że połowa pracowników zarabia tam 3 proc. poniżej płacy minimalnej albo jeszcze mniej. Czy ktoś nam może wytłumaczyć, jak to jest możliwe w praworządnym kraju?

Opozycji – niespodzianka – nie udało się odwołać ministra Kierwińskiego. Spektakl z votum nieufności okazał się, jak zwykle, okazją do bezczelnego samochwalstwa rządu, ale naprawdę ciekawe jest to, czym władza postanowiła się chwalić. Otóż min. Kierwiński jest bardzo dumny, że mamy dziś „największą liczbę policjantów w historii” – tak jakby to liczba pał na ulicach, a nie na przykład pracowników zarabiających powyżej pensji minimalnej, świadczyła o rozwoju kraju. Jeszcze lepszy był premier Tusk, który przemawiając w obronie szefa MSWiA, ogłosił: „minister Kierwiński, kiedy został europarlamentarzystą, został wezwany przez ojczyznę w potrzebie i wrócił bez chwili wahania”. Byli w historii królowie, którzy mówili „państwo to ja” – ale premier demokratycznego kraju, który sam siebie nazywa „ojczyzną”, to niejaka nowość.

AWŁ

Umarł
Tomasz Wołoszyn
autor rysunków satyrycznych,
komiksów i karykatur
od wielu lat związany
z naszym tygodnikiem.
Współczujemy najbliższym.
Koleżanki i koledzy z tygodnika „NIE”

Z URNY BLAGIERA URBANA



Czerwiec 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Norberta

„Gazeta Polska Codziennie” tropi w polskiej dyplomacji potomków pociotków Bieruta. Na wypadek, gdybym wstąpił do dyplomacji, informuję z góry, że szwagier mojego ojca nazywał się Adolf Hitler. Po opanowaniu Niemiec przez nazistów zmienił nazwisko na Heitler, ale gdy do Warszawy weszli Niemcy, nic to Żydowinie nie pomogło.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętego Gilberta

Janusza Palikota, człowieka – jak wiadomo – majętnego, prokuratura chce rozpytywać, dlaczego do poselskiej deklaracji majątkowej nie wpisał drogiego zegarka. Chodzi o symetrię wobec procesu byłego ministra Nowaka z PO oskarżonego o to samo. Intencją ustawy o deklarowaniu majątku było szukanie łapownictwa u rządzących. Gdy poseł deklaruje, że jest bogaty i w czym tkwi jego zamożność, trudno żeby dostarczał remanent wszystkich przedmiotów wartych ponad 10 tys. zł. Bogaci mają ich dużo i nie świadczą one o nieuczciwości. Palikot ma np. żonę sto razy droższą niż zegarek. Też niewpisana.

Świętego Pentekota

W obchodach lądowania w Normandii zabrakło podziękowań dla Putina. Związek Radziecki ułatwił zajmowanie Francji, wszczynając letnią ofensywę na froncie wschodnim. Dzięki temu Niemcy nie mogły przerzucić sił na Zachód. W naszej telewizji można było odnieść wrażenie, że II wojnę wygrał gen. Maczek, a nie armia radziecka. Między Monte Cassino a Łukiem Kurskim jest zaś taka różnica jak pomiędzy Gubałówką a Himalajami.

Świętego Landry

Z okazji 28. rocznicy ślubu ze mną Daniszewska wywozi mnie na Mazury pod pretekstem, że tam go braliśmy. Będę się przeziębiać na sprzedanym przez Daniszewską jej dawnym statku „Aurora” pisanym cyrylicą na pamiątkę rewolucji. Nasz synek Azor nie jedzie, bo 28 lat temu nie było go na świecie. Szykuję na tę rocznicę wielką niespodziankę: żadnego prezentu. Niech bieda piszczy jak czarne ślimaki, które dzień i noc setkami pani Daniszewska morduje w naszym ogrodzie. Jako też oślizły, boję się wychodzić.

Cd. świętej Landry

Ślub z Daniszewską braliśmy w urzędzie gminy Stawigudy. Świadkami byli mój kierowca i ochroniarz z BOR. Publiczność stanowiły dwie 10-letnie dziewczynki: córka panny młodej i jej koleżanka. Chciały zobaczyć, jak robi się małżeństwa. Panna młoda przybyła na bosaka w przezroczystej kiecce narzuconej na nagie ciało. Gapiom przed urzędem stawało. Ja też ubrany czy raczej rozebrany byłem letniskowo. Jak większość pijanych nowożeńców w Polsce, nocy poślubnej nie pamiętam. Jeśli w ogóle się odbyła, to na pewno nie była lepsza niż setki poprzednich i tysiące następnych nocy. Daniszewską przed tym ślubem trenowało około 70 mistrzów seksu i dwie mistrzynie. W mojej przeszłości zawsze do tej pory miłość i udane pieprzenie występowały rozdzielnie. Daniszewska uważa miłość za pochodną wielkich orgazmów.

Świętego Barnaby

Ćwierć wieku temu po przegranych wyborach 4 czerwca podróżowaliśmy po Włoszech od Alp po Sycylię jako goście mafii. Oficjalnie gościł mnie z żoną jako jeszcze ministra Związek Wydawców Włoskich. Monte Cassino ominęliśmy, bo tamtejsze maki to opium dla ludu. Były komunista senator książę Carlo Rodrigo de Meana nie chciał się ze mną spotkać jako z wciąż komunistą. Kaczyński do dziś się ze mną nie spotyka, chociaż daleko nie jest księciem.

Świętego Guya

Odmówiłem zagrania epizodycznej roli kapitalisty w jakimś filmie fabularnym. Jestem za leniwy na to, żeby udawać kapitalistę. Dyrektor pewnego teatru ma ze mną omawiać wystawienie komedii o Urbanie. Wolę bierną karierę artystyczną.

Oglądam „House of cards”, ale trochę w głowie mi się pieprzy. Wiceprezydent Underwood zamordował prawie gubernatora i dziennikarkę-kochankę, dlatego więc popiera Chińczyków lub udaje wsparcie dla Chin. A żeberka z rusztu szlag trafił przez oligarchę Tuska.

Świętej Rosji

Wracając do 4 czerwca w Warszawie. Kaczyński był proamerykański, ale Obama nie okazał się prokaczyński. Przypuszczalnie dlatego prezes PiS zachorował na alergię wobec współczesnego świata.

Świętego Antoniego z Padwy

Dlaczego akurat laryngolog został „Człowiekiem Wolności” TVN i „Gazety Wyborczej”? Otóż w swej deklaracji lekarze katoliccy piszą, że penis i cipa to boskie, nienaruszalne części człowieka (o dupie nie wspominają). Ucho też jest organem erogennym, ale Bóg ulokował je powyżej pasa, czyli ponad strefą zainteresowań religii. W uchu więc lekarz może grzebać bezgrzesznie, a nagroda dla usznego profesora nie wzbudza kościelnego oburzenia. Zresztą laureat nie uprawia skrobania woskowiny z uszu. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Przemysław Czarnek** powiedział, że jest głęboko wdzięczny rodzicom za lanie go pasem. Rodzice, niestety, zapomnieli o szorowaniu mydłem gęby.
- **Arcybiskup Wacław Depo** zauważył, że dłuższe urlopy odciągają od Boga. Racja, pielgrzymować można po chałupie.
- **Rosół** może trafić na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. Teraz będzie ogólnopolska afera, czy z natką, czy z koperkiem.
- CBOS: zdecydowana **większość Polaków** popiera zakaz sprzedaży alkoholu nocą. Z zakazem sprzedaży alkoholu jest jak z wynikami Konfederacji – zawsze są niedoszacowane.
- W Warszawie utworzono **zespół do spraw dzikich zwierząt,** który ma się zająć losem dzików. Ciekawe, czy chodzi o los dzików przed odstrzeleniem, czy po.
- **Gdańska kuria** protestuje przeciw przywróceniu autobusu 666 na Hel. Racja, autobus na Hel powinien mieć numer 2137.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Szanowna Towarzyszko Naczelna!

Przyczynkiem do napisania tego listu był artykuł Naczelnej pt. „Pożegnanie filozofa” („NIE”, nr 20/2026 – red.) i przypuszczam, że Naczelna mego listu nie opublikuje, ale może się mylę. Naczelna ma obowiązek wytłumaczyć czytelnikom fakt zniknięcia od około roku rubryki autorstwa Marka Sanowskiego „Kazaczok z czołgami”. Przypuszczam, że Naczelna miała „przyjemność” spotkać się z funkcjonariuszami ABW, którzy mają na redakcję jakieś „haki” albo na właścicieli „NIE” – że Naczelna zmuszona była zrezygnować z usług redaktora Marka Sanowskiego. Jest też opcja, mało prawdopodobna, że redaktor Marek Sanowski podupadł na zdrowiu i cała moja „teoria spiskowa” jest warta funta kłaków. Tak czy siak, Naczelna powinna wytłumaczyć czytelnikom tajemnicze zniknięcie rubryki „Kazaczok z czołgami”. Na zakończenie ośmielam się zapytać Naczelną, nie jako naczelną „NIE”, ale jako członkinię PPS, prawdopodobnie drugą osobę w partii po Piotrze Ikonowiczu – jakie jest oficjalne stanowisko PPS w przedmiocie obecności Polski w terrorystycznym NATO? Czy jako gorliwa socjalistka miłująca pokój wolałaby Pani, aby NATO nie było w Europie, a nawet na świecie, bo jest to organizacja od zarania dziejów antysocjalistyczna, założona przez największe terrorystyczne państwo świata, imperium zła USA? Po rozwiązaniu Układu Warszawskiego powinien rozwiązać się najpóźniej po roku, czyli w 1993 r., pakt „diabelski” NATO. Zgodzi się Naczelna z Piotrem Ikonowiczem z tezą, że gdyby nie było NATO, nie byłoby wojny na Ukrainie? Mam nadzieję, że list mój Towarzyszka opublikuje, za co z góry dziękuję, bo cenzurę stosują tylko szuje i burżuje.

Stanisław Mikulski* ze Szczecina

*) Imię i nazwisko nieprawdziwe ze zrozumiałych względów

Od redakcji:

Red. Marek Sanowski jest zajęty pisaniem magisterium, albowiem jest nie tylko wybitnie zdolnym, ale także nieprzyzwoicie młodym człowiekiem. Kiedy będzie miał czas, z radością powitamy go z powrotem na łamach.

Do PPS co prawda nie należę już od ćwierćwiecza, podobnie zresztą jak Ikonowicz, ale tezie o szkodliwości NATO dla pokoju na świecie dochowuję wierności. Ikonowicz chyba też.

Serdeczności

AWŁ

eprasa.pl b1eaaf6b5b

Dochodzę do wniosku, że polski naród – tradycyjnie już – rwie się do samobójstwa.

Jarmark śmierci



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mimo że gdzieniegdzie słychać jeszcze nieśmiałe popiskiwania pacyfistów, ogólny nastrój przypomina zbiorową erekcję przed bitwą, której nikt nie wygra, ale o której wszyscy będą pięknie kłamać w podręcznikach. Na razie w roli hetmana wskazującego palcem kierunek „na Moskwę" pręży się Mateusz Morawiecki. Zaraz za nim w blokach startowych przebiera nogami prezydent Nawrocki – tyle że po ostatnich wydarzeniach nie wiadomo, czy idąc na Kreml, nie zahaczymy o Kijów.

Po drugiej stronie granicy w rosyjskim telewizorze niejaki Władimir Sołowjow – etatowy histeryk Kremla – już dawno ogłosił, że wojna z NATO trwa, a Rosja broni się przed zniszczeniem. Zwykły zjadacz chleba, przyzwyczajony do tego, że o jego losie decydują ludzie o inteligencji średnio rozgarniętego krawężnika, wzrusza ramionami i wraca do oglądania seriali.

Porzućmy te uniesienia. Zajmijmy się teraz tym, o czym milczą podręczniki historii, pisane ku pokrzepieniu serc i otumanieniu umysłów. Porozmawiamy o konkretach. Sprawdzimy, po ile chodzi kilogram świeżego armatniego mięsa.

Cena syna

Oczywiście postęp techniczny sprawił, że cennik usług pogrzebowych dla państwa stał się mocno zróżnicowany. Szeregowiec z karabinem, który potrafi się tylko celnie przeżegnać i nieco mniej celnie strzelić, kosztuje budżet tyle co komplet opon do limuzyny rządowej. Co innego taki pilot F-35 – to już inwestycja rzędu 600 mln zł.

Przyjmijmy jednak, że każda armia, od Czyngis-chana, zapewnia podwładnym minimum socjalne: miskę brei, dach nad głową (zazwyczaj w formie dziurawego brezentu) oraz dwie pary gaci, żeby mieli w co narobić ze strachu przed atakiem drona. Was, drodzy rodzice, interesuje przecież czysty zysk. Ile wasz syn lub córka, zanim ewentualnie zostaną bohaterami narodowymi w wersji sproszkowanej, przeleją wam na konto? Spójrzmy na rentowność umierania z perspektywy lokalnej, globalnej i historycznej.

Obecnie szeregowy żołnierz Wojska Polskiego otrzymuje około 5 tys. zł netto miesięcznie. Niemcy płacą wprawdzie więcej – szeregowy Bundeswehry może liczyć na około 2 tys. euro, czyli 8,5 tys. zł. Podobne stawki obowiązują w większości państw tzw. starej Unii Europejskiej. Są jednak kraje, w których żołnierze zarabiają wyraźnie mniej. W Portugalii początkujący wojskowy otrzymuje około 900 euro, a w Rumunii około 700. Na tym tle polski szeregowy nie wygląda więc na wojskowego szczególnie pokrzywdzonego przez los.

Śmierć w systemie ratalnym

Spójrzmy jednak na strony przeciwne tego hipotetycznego konfliktu. Generalnie zarówno Rosja, jak i Ukraina stosują prosty mechanizm: im bliżej śmierci, tym wyższy żołd.

Kontraktowy szeregowiec armii rosyjskiej walczący na froncie otrzymuje podstawowy żołd wynoszący 210–260 tys. rubli miesięcznie, czyli 12–13 tys. zł. Jeżeli żołd nie może zostać wypłacony z powodu śmierci właściciela, familia otrzymuje jednorazowo 13–15 mln rubli różnego rodzaju świadczeń. Przy obecnym kursie 550–650 tys. zł. Problemy pojawiają się wtedy, gdy człowiek zostaje uznany za zaginionego albo jego ciała nie odnaleziono. Wtedy droga od pola bitwy do wypłaty bywa niekiedy dłuższa niż sama służba frontowa.

Na Ukrainie żołnierz frontowy dostaje ok. 100 tys. hrywien miesięcznie, co odpowiada mniej więcej 9–10 tys. zł. W przypadku śmierci rodzinie przysługuje 15 mln hrywien. Obecnie ok. 1,3–1,4 mln zł. Rozłożone jest to na raty. 3 mln hrywien od razu. Pozostałe 12 mln przez wiele miesięcy.

Na tym tle polskie rozwiązania wypadają skromniej. Gdyby wasz syn lub wnuk poległ na polu chwały, jest odprawa pośmiertna w równowartości sześciomiesięcznego uposażenia żołnierza. W praktyce 50–70 tys. zł. Małżonek oraz dzieci mogą ponadto liczyć na renty rodzinne i inne świadczenia długoterminowe, których wysokość ustalana jest na podstawie przeciętnego uposażenia w wojsku.

Ideologia zamiast kolacji

Przejdźmy do czasów, gdy nasi dziadowie brali się za fraki i sprawdzali, czyj bagnet jest bardziej penetrujący. We wrześniu 1939 r. państwo polskie wychodziło z założenia, że zaszczyt umierania za orzełka jest nagrodą samą w sobie, więc żołnierzowi wystarczy jałmużna. Polski szeregowy dostawał miesięcznie 24,50 zł – kwotę tak komiczną, że nawet ówczesny robotnik wyciągający 120 zł patrzył na niego z litością zmieszaną z pogardą. Było to typowe „kieszonkowe na śmierć", starczające na kilka paczek papierosów tygodniowo. Sanacyjna władza nie bawiła się w kupowanie lojalności – po prostu brała człowieka za mordę i kazała mu gnić w okopie w imię honoru.

Z drugiej strony barykady „bohaterski" Wehrmacht wcale nie był bardziej rozrzutny. Hitler, choć obiecywał podbój świata, swoim gefrajtrom płacił jak nędzarzom. Szeregowiec dostawał 60–70 reichsmarek, co stanowiło ledwie ułamek pensji niemieckiego robotnika. W dzisiejszych realiach to jakieś 1350 zł – kwota, za którą trudno byłoby obecnie namówić kogoś do umycia okien, a co dopiero do marszu na Warszawę.

Nawet czarne anioły z Waffen-SS, rzekoma ideologiczna elita i nadludzie w lśniących butach, w portfelach mieli taką samą pustkę jak ich koledzy z regularnej armii. System żołdu był tam niemal identyczny. Grenadier SS mógł co prawda liczyć na szybszy awans i prawo do patrzenia na resztę świata z góry, ale w kantynie płacił tyle samo. Widać uznano, że fanatyzm religijny – w tym przypadku wyznanie germańskie – doskonale zastępuje kalorie i gotówkę. Krótko mówiąc: im bardziej elitarna formacja, tym taniej wychodziło państwu jej unicestwienie.

Dolarowy desant i rublowa nędza

Przenieśmy się teraz za ocean. Zapytacie zapewne, ile zarabiał osławiony szeregowiec James Francis Ryan. Otóż „private Ryan" otrzymywał 50 dol. miesięcznie żołdu oraz 20-procentowy dodatek za służbę poza granicami USA. Razem 60 dolców. Odpowiada to dzisiejszym 1,1–1,3 tys. dol., czyli 4–5 tys. zł miesięcznie. Na tle większości drugowojennych armii była to kwota całkiem pokaźna.

Tyle razy oglądaliście „Czterech pancernych i psa". Wiadomo – dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach, więc o tej stronie wojny serial milczy. Zajrzyjmy jednak do portfela szeregowca Jana Kosa, filmowego bohatera granego przez Janusza Gajosa (późniejszego porucznika).

Kos służył w 1. Brygadzie Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, której żołnierze wynagradzani byli według stawek w Armii Czerwonej. Zwykły czerwonoarmista otrzymywał około 50 rubli miesięcznie. Przeciętny robotnik w Związku Radzieckim zarabiał w czasie wojny 400–600 rubli. Żołd czołgisty nie robił więc oszałamiającego wrażenia.

Ale wojna miała także system premiowy. Za zniszczenie Tygrysa można było otrzymać do 1000 rubli dla załogi. Jan Kos zarabiał skromnie, ale gdy Rudy 102 trafiał do celu, państwo radzieckie dawało wymierny wyraz wdzięczności.

Zasada dwóch nadgarstków

Nie zapominajmy jednak o pewnym wstydliwym aspekcie wojny, który według współczesnych standardów cywilizacyjnych jest całkowicie nie do przyjęcia. Przy tak niskim żołdzie pojawia się kwestia łupów wojennych. Okradanie poległych przeciwników często spotykało się co najwyżej ze wzruszeniem ramion. Nie istniały szczegółowe instrukcje, co zrobić ze znalezionym przy zabitym portfelem, obrączką, zegarkiem czy bagnetem. Wojsko zakładało po prostu, że zdobywca może taki przedmiot zatrzymać. Międzynarodowy skandal wybuchł dopiero wtedy, gdy świat obiegła słynna fotografia Jewgienija Chałdieja przedstawiająca zawieszenie radzieckiej flagi na Reichstagu. Uważni obserwatorzy dostrzegli, że jeden z uwiecznionych na zdjęciu szeregowców – Abdulchakim Ismaiłow – ma na rękach dwa zegarki. Po jednym na każdym nadgarstku. Dla radzieckiej propagandy był to problem na tyle poważny, że jeden z zegarków usunięto później z fotografii podczas retuszu.

Dzisiaj podobne zachowanie byłoby uznane za przestępstwo i mogłoby skończyć się sądem wojskowym. Ale na wszelki wypadek, gdyby wasze dzieci wybierały się kiedyś na pole bitwy, niech karty płatnicze i iPhone'y zostawią jednak w domu.

Hitler na znaczkach, Stalin na koszt państwa

Także jednak wojsku się poprawiło. Ale przeliczmy teraz tych, którzy żołnierzykami zarządzali w tamtych bohaterskich czasach.

Otóż taki pan Adolf, formalnie starszy szeregowy z I wojny światowej (nigdy nie został awansowany do stopnia kaprala, jak błędnie się powszechnie przypuszcza), w okopach pod Ypres dostawał około 10 marek miesięcznie. Nie były to pieniądze oszałamiające. Ale później jego sytuacja uległa zdecydowanej poprawie.

Jako *Der erste Soldat Großdeutschlands* (pierwszy żołnierz Wielkich Niemiec) pobierał pensję kanclerza wynoszącą około 29,2 tys. reichsmarek rocznie oraz dodatkowo mniej więcej 18 tys. reichsmarek dodatku reprezentacyjnego. To jednak były drobne. Prawdziwym kombajnem do robienia pieniędzy okazała się „Mein Kampf". W 1934 r. Hitler miał zarabiać na tantiemach autorskich nawet około 2 mln reichsmarek rocznie. Mało tego, niemiecka poczta płaciła mu bajońskie wynagrodzenie za wykorzystywanie jego podobizny na znaczkach pocztowych.

Krótko mówiąc, człowiek, który zaczynał jako żołnierz pobierający żołd niewiele wyższy od kieszonkowego, skończył jako milioner utrzymywany przez własne państwo. Nie dość, że był jak szatan złośliwy, to jeszcze wychodzi na to, że był bogatszy od Pana Boga.

Spójrzmy teraz na Wschód. Tam armią kierował człowiek, który nigdy nie służył jako zwykły żołnierz na froncie. Nie przeszedł klasycznej kariery wojskowej. Józef Stalin z pozycji zawodowego rewolucjonisty i polityka awansował od razu na najwyższe szczeble dowodzenia. W 1943 r. otrzymał stopień marszałka Związku Radzieckiego, a w 1945 specjalnie dla niego utworzono jeszcze wyższy stopień generalissimusa Związku Radzieckiego.

Według danych amerykańskiego wywiadu marszałek Stalin pobierał około 10 tys. rubli miesięcznie, a jako generalissimus 20 tys. Dla przeciętnego czerwonoarmisty była to równowartość mniej więcej 200 miesięcznych żołdów, czyli ponad 16 lat służby bez wydania ani jednego rubla.

Nie bardzo zresztą wiadomo, po co było mu tyle pieniędzy. Stalin nie chodził do sklepów, nie płacił rachunków, nie kupował mieszkań, samochodów ani żywności. Wszystko zapewniało mu państwo, którym rządził. Być może banknoty służyły mu do rozpalania w kominku. A może używał ich do przypalania fajki. W praktyce różnica między zwykłym obywatelem a Stalinem nie polegała na tym, że ten drugi miał więcej pieniędzy. Polegała na tym, że mógł mieć wszystko, nawet gdyby nie miał ani jednego rubla.

Miliardy na górze, grosze w piachu

I w zasadzie niewiele się pod tym względem zmieniło, jeśli spojrzymy na współczesnych bogów wojny. Oficjalnie Władimir Putin deklaruje roczne dochody rzędu 140–150 tys. dol. i stosunkowo skromny majątek osobisty. Zachodni analitycy szacują ukryte aktywa Putina na 100 do 200 mld dol.

Donald Trump wygląda wręcz jak człowiek średnio zamożny. „Forbes" szacuje jego majątek na około 6,5 mld dol., czyli 24–25 mld zł.

A potem pojawia się jeszcze ten Ukrainiec. Wołodymyr Zełenski, były aktor i producent telewizyjny, dysponuje majątkiem rzędu 20–30 mln dol., czyli ok. 100–150 mln zł. W świecie miliarderów jest to kwota niemal niezauważalna.

I oto mamy przed sobą współczesną hierarchię wojny. Na samym dole stoi szeregowiec, któremu obiecuje się kilka tysięcy złotych miesięcznie oraz odszkodowanie dla rodziny na wypadek śmierci. Na górze stoją ludzie dysponujący majątkami liczonymi w milionach, miliardach, a czasem nawet setkach miliardów dolarów. Teraz wszystko powinno być już dla was jasne. Wiecie mniej więcej, za ile będziecie umierać. I wiecie również, dla kogo.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl b1eaaf6b5b

GADMAN



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Medalikarze

W Polsce krok tylko od politycznej komedii do tragedii

Prezydent Wołodymyr Zełenski mógłby sam zrezygnować z nadanego mu polskiego Orderu Orła Białego. Ucinając tym dąsy polskich elit politycznych i komentatorskich. Brak orderu zapewne nie spowodowałby u niego psychodoła. Ma już kilkanaście innych zagranicznych orderów i medalików przyznanych mu przez zagraniczne sługi narodów. Niejeden jeszcze dostanie. A kiedy już umrze, to zbombardują go podobnymi ku chwale pogrzebu.

Rezygnacja z orderu zostałaby zrozumiana na świecie i Ukrainie. Wystarczy deklaracja, że Zełenski nie czuje się komfortowo, bo ten order zdobił też faszystów takich jak Benito Mussolini i jego zięć Ciano. Wcześniej nosili go i nadawali moskiewscy carowie Aleksander I i Mikołaj II. A także polski prezydent Ignacy Mościcki, który uciekł z Polski po napadzie niemiecko-radzieckim.

Prezydent Zełenski mógł uciec do Rumunii po rosyjskim napadzie. Został na posterunku, zorganizował obronę, walczy z Rosją jak może. Teraz polscy „patrioci" chcą mu za to order odebrać.

Warto wiedzieć, że dziś ten sam order noszą też Bronisław Wildstein, Antoni Macierewicz, Wojciech Roszkowski, Stanisław Dziwisz czy Gerhard Schröder. Ten ostatni to taki Dziwisz prezydenta Putina. Dlatego swą rezygnację mógłby ukraiński prezydent uzasadnić przywiązaniem do wiersza poety Zbigniewa Herberta „Potęga smaku".

Kto daje i odbiera

Na swe szczęście prezydent Zełenski nie musi rezygnować z równie prestiżowego tytułu „Człowieka Roku" nadanego mu przez tygodnik „Wprost" w 2023 r. Wtedy razem z prominentem PiS panem posłem Mariuszem Błaszczakiem. Pan poseł Błaszczak nie postuluje jeszcze pozbawienia pana prezydenta tego zaszczytu. Podobnie inni „Człowiecy Roku", nawet ci ostatnio krytyczni wobec Zełenskiego, jak Leszek Miller, Zbigniew Ziobro, Jan Maria Rokita, Jarosław Kaczyński, Wiktor Juszczenko, Donald Tusk, Daniel Obajtek, Mateusz Morawiecki.

Ukraiński prezydent zapewne zachowa też nagrodę Orła Jana Karskiego i tytuł doktora honoris causa Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie.

Gdybym miał do wyboru doktorat honoris causa SGH czy Order Orła Białego, to oczywiście wybrałbym doktorat.

Ale ja urodziłem się w Częstochowie. Tam medalików dostatek. Wszystkie zgodnie klękają przed najważniejszym. Z Matką Boską Częstochowską. Czarną Żydówką zrabowaną przez Polaków na Ukrainie.

Prezydent Zełenski karierę swą zaczynał jako zawodowy komediant. Potem wszedł w rolę zawodowego polityka. Pełni ją udanie. Zyskał za to wiele orderów, uznania i poważania wśród światowych liderów.

Polscy politycy i nakręcający ich medialni komentatorzy też mienią się zawodowcami. Ale w relacjach polsko-ukraińskich ostatnio zachowują się jak komedianci. I to amatorscy.

Prezydent Zełenski i jego ekipa oczekują od państwa polskiego pomocy w wojnie z Rosją. Realnej, materialnej. Pieniędzy, sprzętu, tranzytu dla amerykańskich i europejskich dostaw. Medaliki mają własne.

Polskie elity i medialny komentariat oczekują od ukraińskich elit aktów symbolicznych. Nieustannych deklaracji wdzięczności i zapłaty za bezinteresowną pomoc, jakiej Polacy udzielili ukraińskim uchodźcom wojennym. Uroczystego potępienia czystek etnicznych/pogromów/ludobójstwa ludności polskiej na Wołyniu i innych ziemiach podczas II wojny światowej. Gromkiego potępienia Ukraińskiej Armii Powstańczej i jej liderów. Zwłaszcza Stefana Bandery. Byłego obywatela II Rzeczpospolitej.

Ze sfery realnej, materialnej polskie elity oczekują godnego pochowania ofiar ukraińskich zbrodni. Innych pomysłów ze sfery materialnej nie ma lub nie są gromko artykułowane.

Oczywiście mordowanie polskiej ludności przez ludność ukraińską powinno być potępione. Oczywiście wszystkie ofiary tamtych mordów powinny mieć godne pochówki i pamięć. To nie podlega dyskusji, tylko realizacji.

Jednak polska polityka wobec Ukrainy, a także wobec Rosji i Białorusi, nie może być uwarunkowana jedynie mordami polskiej ludności i represjami wobec niej w czasie II wojny światowej. Mordy na Wołyniu, Podolu, w Katyniu, Miednoje, Bykowni, Charkowie i wielu innych miejscach ówczesnej „nieludzkiej ziemi" nie mogą być fundamentem współczesnej polskiej polityki wobec naszych wschodnich sąsiadów.

Podobnie jak o polityce innych państw wobec Polaków nie mogą decydować mordy i represje dokonywane przez polskie wojska na słowiańskich sąsiadach i mieszkających tam Żydach.

Polska polityka wschodnia nie może być warunkowana bieżącymi politykami historycznymi. Naszymi i naszych sąsiadów. Realizowana przez żerujących na ofiarach cynicznych, zakłamanych politykach i medialnych komentatorach.

Jerzy Czech, przenikliwy intelektualnie znawca historii Polski, Ukrainy, Rosji, przypomniał niedawno, że podczas powstania Chmielnickiego doszło do niespodziewanego sojuszu dwóch niedawnych śmiertelnych wrogów: Kozaków zaporoskich i Tatarów. Wcześniej przez wiele lat bezlitośnie ze sobą walczyli. Dzięki połączeniu kozackiej piechoty z tatarską jazdą sromotne klęski ponosiły doborowe polskie wojska, które niedawno zdobyły Moskwę, okupywały Kreml. Czasem warto wznieść się ponad swoje Wołynie i Katynie.

Polskim panom dziękujemy

Polskie elity polityczne i medialne powinny wreszcie wyzbyć się swego paternalistycznego, pańskiego, kolonialnego traktowania naszych wschodnich sąsiadów. Zwłaszcza Ukraińców. Oni mają już swoje państwo. Teraz codziennie giną za utrzymanie jego suwerenności.

Dlatego Polacy nie mają prawa decydowania, jakich bohaterów suwerenni dziś Ukraińcy teraz sobie na sztandary wybiorą. Tak samo Ukraińcy nie mają prawa decydować, czy Polacy ochrzczą swą jednostkę wojskową imieniem Bolesława Chrobrego: władcy, który Ruś najechał, ludzi tam mordował, w niewolę brał. Rabował i gwałcił. Nawet ruską księżniczkę, którą seksualnie wykorzystywał, lecz nie ożenił się. Jak honorowemu Polakowi przystało.

Ukraińcy nie mają bogatej tradycji własnej państwowości. Bo ich tatarscy, polscy i rosyjscy sąsiedzi zawsze zwalczali dążenia do ukraińskiej państwowości.

Warto przypomnieć, że dawni Ukraińcy często musieli walczyć o swe państwo i suwerenność z dawnymi Polakami. A także ze swymi rodakami, którzy zasilali warstwy panujące państwa polskiego. Powstanie Chmielnickiego, Koliszczyzna, mordy na Wołyniu – podobnie jak rabacja Jakuba Szeli – były też buntami ludu przeciwko elitom władzy. Wtedy ruskich i polskich rabów przeciwko polskim panom.

Polskie elity władzy i medialny komentariat grożą teraz ukraińskim elitom, że „z Banderą na sztandarach Ukraina nigdy nie wejdzie do Unii Europejskiej".

Bo Polska i inne demokracje Unii Europejskiej nie pozwolą na to.

To kolejny fantom polskiej polityki, oszustwo dla wyborczego ciemnego ludu.

Najzabawniejsze jest, że takie groźby najgłośniej prezentują politycy i komentatorzy, którzy jednocześnie zwalczają brukselski „eurokołchoz" i zachęcają do polexitu. Bo dla nich Unia Europejska to niewola, wyzysk i dyktatura brukselsko-niemieckiej biurokracji.

Gdyby byli poważni i uczciwi wobec swych wyborców, to ogłosiliby, że za propagowanie banderyzmu Ukraina powinna jak najszybciej zostać oddaną w brukselską niewolę. Poddana wyzyskowi Berlina.

Wszyscy inteligentni wiedzą, że Ukraina nie wejdzie do Unii Europejskiej w najbliższej dekadzie. Nie dlatego, że jakaś jej jednostka wojskowa została nazwana imieniem UPA. Państwa Unii Europejskiej będą deklarować poparcie dla Ukrainy, obiecywać jej wuniowstąpienie, dopóki ukraińscy żołnierze giną na wojnie z Rosją. Wojnie, w którą najważniejsze państwa Unii już zaangażowały się pośrednio, choć nie zawsze takiego zaangażowania chciały.

Państwa bogate, bo rządzone przez zawodowe elity polityczne, zawsze wolą zapłacić, przysłać walczącym uzbrojenie niż swoich żołnierzy na pewną śmierć. Muszą też Ukrainę popierać, bo w efekcie fatalnej polityki prezydenta Putina nie mogą już zachować neutralności. Bo Ukraina stała się obecnie rubieżą militarną i polityczną Unii Europejskiej. I taka zostanie także po zawarciu rozejmu militarnego z Rosją. Bo pokoju długo tam nie będzie. Wtedy o akcesji Ukrainy do UE zadecydują interesy ekonomiczne UE i Ukrainy. Nie kult Stefana Bandery.

Bogate państwa UE prowadzą politykę jak kapitaliści. Po kupiecku, jak mawiano w „Ziemi obiecanej".

Polskie elity polityczne i komentatorskie nie potrafią robić tak polityki, bo nadal uprawiają ją po szlachecku. Jak w I Rzeczpospolitej.

I tego nadal uczą polskich obywateli. Uczą ich pogardy dla kompromisów. Zasady, że w długoterminowych relacjach międzynarodowych ważne są przede wszystkim materialne zyski.

Dla polskich elit najważniejszy jest prestiż. To, kto komu „pierwszy uchyli kapelusza". Nie rachunek, kto ile zarobi, a kto ile straci. A w razie zagrożenia znów „szlachta na koń wsiędzie, ja z synowcem na czele, i jakoś to będzie".

Kochani faszyści

Oczywiście polscy politycy uprawiają taką politykę cynicznie. Bo mamy w Polsce polaryzację, wojnę plemion KO i PiS. Mamy niebawem wybory parlamentarne. Wtedy o zdobyciu lub utrzymaniu władzy znów może zadecydować, jak podczas wyborów prezydenckich, wola kilku procent nawiedzonych, niedouczonych ksenofobów i nacjonalistów. Faszyzujących nierzadko.

Podobną nacjonalizację i faszyzację nastrojów ma u siebie prezydent Zełenski. Skoro partyzanci UPA walczyli z ZSRR, dzisiejszymi Moskalami, to trzeba ten mit wykreować. Jako ukraińskich żołnierzy wyklętych.

Wszczynając awanturę o Order Orła Białego ukraińskiego prezydenta, polscy politycy i komentatorzy budzą demony najgłupszego polskiego nacjonalizmu.

Mnożą wrogów państwa polskiego. Walczą już jednocześnie z Rosją, Niemcami, a teraz też z Ukrainą. Nadymają się i groźnie szczerzą wąsy.

Ciekawe, ilu z nich, w razie prawdziwej obcej agresji, zostałoby i walczyło w kraju. A ilu uciekłoby na Zachód. Jak kiedyś kawaler Orderu Orła Białego prezydent RP Ignacy Mościcki.

PIOTR GADZINOWSKI

Przepraszam za suma

Ryba a sprawa polska

Na warszawskim Gocławiu pan Ukrainiec złowił suma będącego rozrywką zblazowanych Warszawiaków. Dostał za to pięcioletni zakaz wjazdu do strefy Schengen, sum był bowiem Polakiem i miał wąsy. 57-latek wrócił na Ukrainę, bynajmniej nie dobrowolnie. Dla ukontentowania polskiej opinii publicznej, czyli nacjonalistycznej tłuszczy, powinien on zaciągnąć się do armii ukraińskiej, aby bronić cywilizacji europejskiej. Tej samej cywilizacji, która deportuje do kraju wojny człowieka za złowienie suma.

Tak wyglądają proporcje w państwie, które bardzo lubi opowiadać o swoim historycznym cierpieniu, ale cudze cierpienie zaczyna ważyć na aptekarskiej wadze natychmiast, gdy pojawia się przy kasie, w przychodni albo nad jeziorkiem. W lutym 2022 r. uchodźca z Ukrainy był przedmiotem wzruszenia, dowodem naszej wielkości i paliwem do narodowych autopochwał. Polska otworzyła serce, lodówki, dworce, świetlice i profile w mediach społecznościowych. Potem okazało się, że człowiek z Ukrainy jest żywym człowiekiem, a nie obiektem narodowego autofellatio. Ma dziecko, które choruje, potrzebuje mieszkania, chce świadczenia, pracuje za mało albo pracuje nie tam, gdzie trzeba, czasem łowi rybę, czasem wkurza sąsiada. Wtedy serce polskie zaczyna się kurczyć do rozmiaru obozowego regulaminu.

Gdzie nacjonalistyczne drwa rąbią, tam biednym Ukraińcom lecą drzazgi prosto w twarz. W sprawie ustawy o pomocy Ukrainie państwo polskie zro-



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl b1eaaf6b5b

Ukraina walczy za siebie

Nie dziwmy się, że Zełenski nas olewa. Sami się o to prosimy.

Jest mi najdoskonalej obojętne, czy Wołodymyr Zełenski zachowa Order Orła Białego, którego prestiż kolejni prezydenci – ze szczególnym uwzględnieniem Komorowskiego i Dudy – zmieszali z błotem. Co gorsza, Zełenskiemu też to wisi.

Kto komu

Ukraińska klasa polityczna traktuje Polskę z ostentacyjnym lekceważeniem. Co jest wynikiem nie tylko historycznych zaszłości, ale także głupoty polskich elit rządzących i opiniotwórczych, które od początku wojny ukraińsko-rosyjskiej przyjęły paradygmat: Ukraina walczy za nas.

A jeśli tak, to nie oni nam, tylko my im jesteśmy winni wszelką wdzięczność, objawiającą się tyleż w sferze materialnej, co symbolicznej. Jak ujął to ostatnio marszałek Czarzasty, szczególnie wiarygodny w poetyckich uniesieniach:

„oni dają krew, a my tylko pieniądze". A jak tak, to te pieniądze im się po prostu należą, prawie jak członkom rządu Beaty Szydło. A wraz z pieniędzmi wszystko inne, w tym nasza pokorna zgoda na apoteozę organizacji, która zamordowała 100 tys. Polaków.

Tymczasem napaść Rosji na Ukrainę mieści się w bezwzględnej i głęboko niemoralnej, ale też niezaskakującej logice mocarstw. Inaczej – i brutalniej – mówiąc, można było się tego spodziewać. A zatem – można też było tego uniknąć.

Nikt rozsądny nie mógł mieć wątpliwości co do tego, jak Rosja zareaguje na pomysł Ukrainy w NATO. O ile wcześniejsze rozszerzenia, obejmujące 15 krajów dawnego bloku wschodniego, były dla Rosji ciosem w znacznej mierze prestiżowym – o tyle przystąpienie Ukrainy było uważane wprost za zagrożenie dla bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. I Rosja tego nigdy nie ukrywała. Narracja o „denazyfikacji Ukrainy" jest oczywiście propagandą skierowaną do wewnątrz – Rosjanie są, co zrozumiałe, szczególnie czuli na hasło „nazizm" – natomiast koncept sprowadzenia instalacji militarnych wrogiego sojuszu do kraju, z którym Rosja dzieli nizinną granicę liczącą półtora tysiąca kilometrów, to problem daleko wychodzący poza kwestię prestiżu. USA to oczywiście rozumieją i nikt nie ma wątpliwości, jak zareagowałyby Stany – rządzone przez republikanów czy demokratów, bez różnicy – gdyby Kanada albo Meksyk zechciały wejść w sojusz militarny np. z Chinami. Zresztą nie musimy spekulować: mamy przykład kryzysu rakietowego z 1962 r., kiedy niepodległy kraj, jakim jest Kuba, zaprosił na swoją ziemię radzieckie rakiety atomowe. Jest oczywistym – jak z uporem powtarza prof. John Mearsheimer, twórca teorii realizmu ofensywnego – że żadne mocarstwo nie zaakceptowałoby takiej sytuacji. Ukraina, ze swoją długą i skomplikowaną historią z Moskwą, powinna była to wiedzieć.

Po prostu walczmy

Co powiedziawszy, nie można oczywiście zapominać o zasługach „kolektywnego Zachodu" – czyli USA i jego państw klientelistycznych – w wepchnięciu Ukrainy w ten kanał.

Jeśli myślimy o wojnie rosyjsko-ukraińskiej w kategoriach roku 2022, albo nawet 2014, czyli zajęcia Krymu – to umyka nam istota konfliktu, którego korzenie tkwią w roku 1990. Kiedy to, w zamian za zgodę na zjednoczenie Niemiec, administracja Busha seniora, a także Niemcy w osobie kanclerza Kohla, zagwarantowały Gorbaczowowi, że NATO nie przesunie się „ani o cal na wschód" – które to zobowiązanie było następnie konsekwentnie łamane. Zaproszenie Ukrainy było kroplą, która przelała czarę, dopełnianą przez polityków zachodnich przez trzy dekady.

Co więcej: ta wojna mogła zakończyć się porozumieniem w kwietniu 2022 r. – gdyby nie zachodnia interwencja. I wiemy to nie z rosyjskiej propagandy, tylko z „Ukraińskiej Prawdy" – portalu informacyjnego zasłużonego w promowaniu pomarańczowej rewolucji, a także tezy, iż „wołyńska tragedia" były to „obopólne czystki etniczne ukraińskiej i polskiej ludności dokonane przez wiejskie oddziały samoobrony z obu stron" – słowem: lojalnego organu państwa ukraińskiego. W maju 2022 r. „Ukraińska Prawda" opublikowała tekst poświęcony rozmowom pokojowym w Stambule z marca tegoż roku. Ustalono tam, że Ukraina zrezygnuje z planów przystąpienia do NATO i zgodzi się na ograniczenie sił zbrojnych w zamian za gwarancje bezpieczeństwa od krajów zachodnich – i nie będzie musiała uznać aneksji Krymu przez Rosję.

„Gdy tylko negocjatorzy uzgodnili w zarysie ramy ewentualnego przyszłego porozumienia, w Kijowie niemal bez zapowiedzi pojawił się premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson. »Johnson przywiózł do Kijowa dwa proste przesłania: Putin jest zbrodniarzem wojennym, należy na niego naciskać, a nie z się nim dogadywać. I po drugie – nawet jeśli wy jesteście gotowi podpisywać z nim jakiekolwiek umowy dotyczące gwarancji, to my nie. Z wami możemy, ale nie z nim, on i tak wszystkich wystawi« – podsumowuje sens wizyty Johnsona osoba bliska Zełenskiemu" – pisała „Ukraińska Prawda".

Tę opowieść w listopadzie 2023 r. potwierdził reprezentant Zełenskiego na rozmowach w Turcji, Davyd Arakhamia: „Kiedy wróciliśmy ze Stambułu, Boris Johnson przyjechał do Kijowa i powiedział: nie podpisujemy niczego, po prostu walczmy".

W lutym 2025 r. do tych opowieści odniósł się sam Zełenski, który ogłosił, że Johnson nie miał żadnego wpływu na decyzję o kontynuowaniu wojny, bo Zełenski by i tak walczył.

Зачем?

Niezależnie od tego, czy prezydent Ukrainy w tej akurat sprawie mówi prawdę, czy nie – czy decyzję o kontynuowaniu wojny podjął pod naciskiem Johnsona, czy samodzielnie – to po prostu ją podjął. A mógł podjąć inną. Mógł oszczędzić swojemu krajowi czterech lat wojny, godząc się na warunki, które nie rzucały Ukrainy na kolana – i na które teraz już raczej nie ma szans.

A co ważniejsze: była to jego decyzja, jako przywódcy Ukrainy, podobnie jak wcześniej, w 2014 i 2018 r., to ukraińskie władze zrezygnowały z zasady neutralności i wpisały do konstytucji cel, jakim było przystąpienie do NATO. Inaczej mówiąc: to Ukraina – za podpuszczeniem czy pod naciskiem kolektywnego Zachodu, ale jednak świadomie i celowo – weszła w spięcie z Rosją. Jeśli uznajemy – co jest oczywiste – prawo Ukrainy od samostanowienia, musimy też uznawać jej obowiązek do ponoszenia konsekwencji jej własnych decyzji.

No dobra – ktoś powie – ale Ukraina „walczy za nas" nie dlatego, że ją do tego zmusiliśmy, tylko dlatego, że jak Rosja nie zatrzyma się na Ukrainie, to pójdzie dalej. To jest doktryna obowiązująca w Polsce – i w oficjalnym dyskursie większości krajów zachodnich.

Moje pytanie brzmi: serio?

Czy ktoś naprawdę wierzy że Rosja – która ugrzęzła na Ukrainie – ma wolę i możliwość zaatakowania NATO? NATO ma 8,7 mln żołnierzy, w tym 3,4 mln w służbie czynnej; w przypadku Rosji te liczby to 3,6 i 1,3 mln. Wydatki zbrojeniowe NATO w zeszłym roku wyniosły 1,5 bln dol.; Rosji – 150 mld. I – przede wszystkim – jaki interes Rosja miałaby w napadaniu Polski? Czy też – jak ujął to Władimir Putin na spotkaniu z zachodnimi dziennikarzami w petersburskim Pałacu Konstantynowskim 4 czerwca: „Зачем?"…

Polska jest w NATO od 26 lat i nic tu się nie zmieni; granica polsko-rosyjska ma zaledwie 200 km; mniejszość rosyjska w Polsce liczy koło 10 tys. ludzi – i choć nie są dobrze traktowani przez władze, ich życiu i zdrowiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Federacja Rosyjska to największy kraj na świecie; nie potrzebuje „Lebensraum", a już na pewno takiej zamieszkanej przez nieomal 40 mln ludności przeważnie żarliwie antyrosyjskiej. Zdobycie Polski byłoby niezwykle trudne; jej długotrwałe okupowanie – niemożliwe.

Jestem dziwnie pewna, że większość polityków zachodnich, w tym polskich, znakomicie zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę. I straszenie rosyjską inwazją to sposób na kontrolowanie nastrojów ludności, budowanie „efektu flagi", usprawiedliwianie absurdalnych wydatków zbrojeniowych – ale jego skutek uboczny to niezwykła wprost bezczelność ukraińskich władz, które uwierzyły, że są przedmurzem Europy.

Może zatem jest pora na to, żeby powiedzieć: Ukraina walczy za siebie. My jej pomagamy, bo tego wymaga przyzwoitość, kiedy silniejszy bije słabszego. W 2022 r. Ukraina została napadnięta przez mocarstwo atomowe, które było 30 razy większe, 10 razy bogatsze i miało cztery razy liczniejszą armię – więc oczywiście, że jesteśmy po stronie napadniętego, bo takie są nasze wartości.

Ale to oni są w tym miejscu geografii i historii – i to oni zostali napadnięci, nie my. I jak liczą na naszą pomoc, mogliby się zachowywać nieco uprzejmiej.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA



biło rzecz obrzydliwą, ale bardzo po polsku elegancką: nie powiedziało „won", tylko zbudowało taki system, żeby część ludzi sama wypadła z papierów, świadczeń, leczenia i dachu nad głową. OKO.press i Polskie Forum Migracyjne musiały ogłosić zbiórkę dla uchodźców, którzy po wygaszeniu pomocy stracili 800 plus, opiekę medyczną, zasiłki albo miejsce w DPS. To jest wstyd dla Polski. I dla mnie też, jako Polaka, bo nie da się tego zbyć miną człowieka, który akurat był w innym pokoju, kiedy państwo robiło świństwo.

Potem przychodzi sprawa Orderu Orła Białego i okazuje się, że polska polityka jednak potrafi zejść jeszcze niżej, tylko musi zobaczyć drabinę. Nawrocki chce odebrać order Zełenskiemu, bo prezydent Ukrainy ma zostać postawiony do kąta jak niegrzeczny uczeń w szkole pamięci narodowej.

Nacjonalistyczna buchalteria krzywd kończy się zawsze tak samo – kłótnią, w której żywi ludzie znikają pod stosem rachunków wystawionych zmarłym. Ukraina może walczyć z Rosją, ale ma walczyć w pozycji petenta. Ma przyjmować polskie pouczenia, polskie warunki, polskie fochy i polskie lekcje cywilizacji, jakby Kijów bronił się nie krwią własnych ludzi, tylko dzięki naszym komentarzom pod artykułami. Nawrocki w tej sprawie nie wymyślił niczego nowego. Po prostu wyjął z narodowej szafy stary rekwizyt: przekonanie, że Polska jest moralnym wierzycielem wszystkich dookoła, nawet wtedy, gdy sama nie potrafi zachować się przyzwoicie.

Jeszcze ciekawszy jest Maciej Konieczny, który do tej awantury postanowił dopisać własną symetrię i zaproponował, żeby przy okazji odebrać order Gerhardowi Schröderowi. Niby rozsądnie, bo były kanclerz Niemiec rzeczywiście długo pracował na miano człowieka rosyjskich interesów, ale w tej konkretnej chwili taka propozycja brzmi jak eleganckie potrzymanie płaszcza nacjonaliście. Skoro Nawrocki chce zrobić gest przeciw Zełenskiemu, to my zrobimy gest szerzej, porządniej, bardziej antyputinowsko. Problem polega na tym, że nie każde „a jeszcze" jest odwagą.

Jeżeli już naprawdę chcemy urządzać narodowe odkurzanie orderowych półek, to można zacząć od Mussoliniego. Można potem przejść przez całą listę ludzi, których obecność w tym salonie mówi więcej o państwie polskim niż tysiąc akademii ku czci. Można zapytać, co robią tam Michnik i Macierewicz, dwa pomniki dwóch różnych polskich mitologii, które przez lata nawzajem się żywiły, oburzały i utwierdzały we własnej wyjątkowości. Każdy znajdzie sobie kandydata do symbolicznej egzekucji. I właśnie dlatego poważne państwo nie zamienia najwyższego odznaczenia w cep do bieżącej młócki. Tyle że poważne państwo musiałoby najpierw istnieć.

Z książek Parafianowicza płynie w tej sprawie nauka dużo bardziej gorzka niż cała ta orderowa operetka.


Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Ukraina nie jest świętym obrazkiem, Zełenski nie jest figurką z ołtarzyka, a polska pomoc nie była czystą baśnią o narodzie aniołów. Były napięcia, gesty pod publiczkę i politycy przekonani, że sama geografia załatwi im miejsce przy stole. Polska była ważna, bo była blisko, bo przez jej terytorium płynęła pomoc. Ale z tego nie wynika jeszcze, że państwo polskie umiało przekuć tę rolę w trwałą pozycję polityczną. W czasie, gdy inni myśleli o powojennej odbudowie Ukrainy, my coraz częściej myśleliśmy o tym, jak wystawić Ukrainie rachunek za niewdzięczność.

I to jest prawdziwa klęska, znacznie poważniejsza niż wszystkie wojny symboliczne razem wzięte. Polacy zostali w dużej mierze wysiudani z przyszłej odbudowy Ukrainy nie dlatego, że za mało mówili o historii, tylko dlatego, że przez lata nie potrafili być niezbędni.

Nie zbudowaliśmy własnej polityki wschodniej, która byłaby czymś więcej niż przypinaniem się do amerykańskiej smyczy i czekaniem, aż pan z Waszyngtonu pogłaszcze po głowie.

Elity, które od 35 lat opowiadają o racji stanu, w praktyce często rozumieją ją jako zdolność do odgadnięcia nastroju w ambasadzie USA. A potem dziwią się, że przy wielkich stołach siedzą ci, którzy mają pieniądze, technologie, firmy, banki i własny interes, a nie ci, którzy najgłośniej recytowali moralne pretensje.

To dlatego order dla Zełenskiego jest tematem wygodnym. Można przy nim udawać twardość, nie dotykając własnej nieudolności. Można bić w Ukrainę, żeby nie pytać, dlaczego polskie firmy nie są oczywistymi beneficjantami odbudowy, dlaczego polskie państwo nie potrafiło zamienić pierwszego odruchu solidarności w trwałą przewagę, dlaczego od lat mamy klasę polityczną, która świetnie wychodzi na zdjęciach z amerykańskimi politykami, ale dużo gorzej radzi sobie wtedy, gdy trzeba samodzielnie wymyślić interes Polski. Łatwiej odebrać order niż przyznać, że przegrano coś realnego. Łatwiej potrząsać Wołyniem niż powiedzieć, że Polska nie ma narzędzi, żeby być dla Ukrainy partnerem pierwszego wyboru.

A za rok są wybory i wtedy może się okazać, że Putin nie musi wysyłać żadnych wielkich armii, żeby namieszać w polskiej polityce. Wystarczy kilka dronów i strach wpuszczony w kampanię wyborczą. Wtedy ci sami politycy, którzy dziś prężą się przy orderach, będą szukać numeru do Kijowa. Zwłaszcza ci, którzy od 35 lat siedzą w polityce i nauczyli się jednego: przetrwać każdą kompromitację.

Będą wtedy prosić człowieka, któremu dziś chcą odbierać order, żeby pomógł im nie przegrać wyborów przez kilka rosyjskich dronów. Nagle przypomną sobie, że europejska cywilizacja nie kończy się na warszawskim Gocławiu i na sumie z wąsami.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl b1eaaf6b5b

Czy to pieniądze z KPO wyrzuciły tysiące Polaków na zieloną trawkę?

Cywilizacyjny skok Schrödingera

Gdy Bruksela odblokowała Polsce miliardy euro z KPO, politycy koalicji zachowywali się tak, jakby właśnie odkryto nowe złoża ropy naftowej pod Radomiem. Mieliśmy być krajem, który wreszcie ruszy z kopyta. Miały być inwestycje, miejsca pracy, nowoczesność, cyfrowa rewolucja i wszystko to, co zwykle pojawia się w prezentacjach przygotowywanych przez ludzi przekonanych, że PowerPoint jest narzędziem zmieniania rzeczywistości.

Sukces wydany do ostatniego miliarda

Gdyby ktoś jeszcze kilka lat temu powiedział, że największym osiągnięciem państwa może być wydawanie pieniędzy, zostałby zapewne uznany za malkontenta albo ekonomistę. Dziś powiedzielibyśmy jednak, że był wizjonerem. Oto bowiem Polska odniosła sukces tak wielki, że władza przygotowała specjalny komunikat, by poinformować naród, iż „zainwestowaliśmy już blisko 121,5 mld zł z KPO". Przez całe lata obywatele byli przekonywani, że rolą państwa jest budowanie dróg, czy poprawianie jakości usług publicznych, tymczasem prawdziwa miara skuteczności okazała się znacznie prostsza – trzeba po prostu wydać pieniądze. Im więcej, tym większy sukces.

Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej poinformowało zatem z należytą powagą, że podpisano ponad 774,8 tys. umów. Gdyby każdą z nich czytać przez minutę, zajęłoby to niemal półtora roku nieprzerwanej lektury. I właśnie dlatego należy uznać, że administracja ciężko pracowała.

Ale wspomniane 121,5 mld zł stanowi 46,4 proc. całej alokacji przewidzianej dla Polski. Innymi słowy, rząd osiągnął już niemal połowę sukcesu. Trudno nie odczuwać wzruszenia, zwłaszcza że sukces ten rozpisano bardzo starannie. W części dotacyjnej podpisano umowy warte 67,18 mld zł, co odpowiada 60,1 proc. dostępnej puli. W części pożyczkowej zaś zawarto kontrakty za 54,31 mld zł, czyli 36,2 proc. przewidzianych środków. Widać, że nie ma takiej tabelki w Excelu, której państwo nie byłoby w stanie wypełnić.

Oczywiście pojawia się pytanie, co konkretnie za te pieniądze powstało. Ale takie pytanie świadczy o niezrozumieniu współczesnego zarządzania publicznego. Nie należy bowiem skupiać się na rzeczach przyziemnych. Ważniejsza jest skala, ta zaś jest gigantyczna.

Samochwała komunikatowa

Termomodernizacji poddano już 173 tys. budynków wielorodzinnych. Do tego 274 tys. domów jednorodzinnych. Nie zabrakło też na autobusy. Podpisano umowy na dostawy 334 pojazdów nisko- i zeroemisyjnych. W kraju liczącym niemal 38 mln mieszkańców liczba ta oznacza mniej więcej jeden autobus na 113 tys. obywateli. Ale gdy zapisze się ją odpowiednio dużą czcionką w rządowym komunikacie, wygląda naprawdę okazale.



Rys. WIDGET

Jeszcze bardziej imponująco prezentuje się program laptopowy. Państwo wydało bowiem ponad 341 tys. bonów dla nauczycieli. Nie wiadomo wprawdzie, ilu uczniów dzięki temu lepiej rozwiązuje równania, odmienia czasowniki albo rozumie różnicę między procentem a punktem procentowym, ale wiadomo za to dokładnie, ilu nauczycieli mogło udać się do sklepu po nowy sprzęt. A administracja kocha dane mierzalne.

W żłobkach i klubach dziecięcych utworzono 7505 nowych miejsc. Brzmi dobrze, choć komunikat przypomina od razu, że docelowy plan zakłada 47,5 tys. miejsc. Sukces jest wielki, a że do jego pełni brakuje jeszcze prawie 40 tys. miejsc... Ale od czego są kolejne konferencje prasowe?

Rząd szczególnie dumny jest z Branżowych Centrów Umiejętności. Podpisano umowy na 115 takich placówek, z czego 33 już działają. Docelowo ma ich być 120. Dzięki nim kwalifikacje mają zdobyć 24 tys. osób.

W transporcie także dzieją się rzeczy historyczne. Ukończono budowę 19 km obwodnic. Cel wynosi 90 km. Zlikwidowano również 247 niebezpiecznych miejsc na drogach. Docelowo ma ich być 305. Trudno nie dostrzec postępu.

Najbardziej spektakularnie wyglądają jednak same przepływy pieniędzy. Program „Czyste Powietrze" otrzymał ponad 6,6 mld zł. Inwestycje związane z rolnictwem i skracaniem łańcuchów dostaw dostały ponad 1,8 mld. Na pasażerski tabor kolejowy przeznaczono prawie 1,4 mld, na linie kolejowe prawie 1,2 mld, na poprawę bezpieczeństwa transportu ponad 724 mln zł.

Komunikat nie pozostawia wątpliwości, co jest najważniejsze. Nie czytamy, o ile wzrosła produktywność gospodarki, nie dowiadujemy się, jak zmieniły się dochody obywateli. Nie ma też informacji, czy Polska dzięki tym pieniądzom stała się krajem bardziej innowacyjnym albo lepiej zarządzanym.

Pieniądze pracy nie dają?

Od pierwszych przelewów z KPO minęły dwa lata. Pora więc sprawdzić, co właściwie odbudowano. Patrząc na oficjalne dane, można dojść do wniosku, że przede wszystkim zadłużenie państwa. W kwietniu 2024 r., gdy pierwsze pieniądze z KPO zaczynały docierać do Polski, zadłużenie skarbu państwa wynosiło około 1,435 bln zł. Dziś przekracza już 2,088 mld zł, co oznacza wzrost o ponad 653 mld.

Jeszcze ciekawiej wygląda dług liczony według metodologii unijnej. Na początku badanego okresu wynosił około 1,735 bln zł. Dziś przekracza już 2,4 bln. Jeszcze niedawno relacja długu do PKB utrzymywała się wyraźnie poniżej 50 proc. Dziś zbliża się do 60 proc., czyli poziomu, przy którym ekonomiści zaczynają marszczyć czoła, a ministrowie finansów tłumaczyć, że wszystko jest pod kontrolą.

Nie oznacza to oczywiście, że od kasy z KPO gospodarka nie rosła. Wręcz przeciwnie – od momentu uruchomienia pieniędzy z KPO polski PKB zwiększył się realnie o ok. 6,5–7 proc. W 2024 r. gospodarka urosła o 3,2 proc., rok później zaś o kolejne 3,6 proc. W pierwszym kwartale 2026 r. tempo wzrostu spadło do 3,4 proc., ale i tak pozostawało jednym z lepszych wyników w Europie. Problem polega na tym, że obywatel nie jest akcjonariuszem PKB. Produkt krajowy brutto jest znakomitym narzędziem dla ekonomistów, ale fatalnym miernikiem codziennego dobrobytu.

Rząd szczególnie lubi chwalić się inwestycjami. I tu coś drgnęło: po spadku nakładów inwestycyjnych o 0,9 proc. w 2024 r. nastąpiło odbicie. W ujęciu rocznym inwestycje wzrosły o 4,2 proc. W pierwszym kwartale 2026 r. przedsiębiorstwa przeznaczyły na inwestycje 42,4 mld zł, czyli o 8,7 proc. więcej niż rok wcześniej. Ekonomiści zaczęli nawet mówić o „boomie inwestycyjnym". Problem polega na tym, że polska stopa inwestycji nadal pozostaje wyraźnie niższa od średniej unijnej.

Beneficjentem KPO miała być przedsiębiorczość. Od kwietnia 2024 r. do końca 2025 r. zarejestrowano ponad 650 tys. nowych podmiotów gospodarczych. W samym 2025 r. powstało ich dokładnie 365 893. Można by uznać, że Polska przeżywa przedsiębiorczy renesans, tylko że w 2024 r. wykreślono z Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG) 188 608 działalności gospodarczych oraz 24 986 podmiotów z KRS. Łącznie dało to 213 594 firmy. Rok później zniknęły kolejne 220 803 przedsiębiorstwa. W ciągu dwóch lat z rynku wyparowały więc ponad 434 tys. firm. Na każde trzy nowo zakładane przedsiębiorstwa przypadały mniej więcej dwa likwidowane. To już nie wygląda jak przedsiębiorczy cud. Tak jak i to, że przy gigantycznym dopływie pieniędzy do polskiej gospodarki odsetek faktur z odroczonym terminem zapłaty wystawianych przez sektor małych i średnich przedsiębiorstw podskoczył w ciągu 12 miesięcy z 52,3 proc. do 60,1 proc. Oznacza to, że w pierwszych trzech miesiącach 2026 r. już sześć na 10 faktur nie było regulowanych od razu.

Najbardziej bezlitosnym testem skuteczności każdej polityki gospodarczej pozostaje jednak rynek pracy. I właśnie tutaj opowieść o sukcesie KPO zaczyna się rozsypywać.

W kwietniu 2024 r. stopa bezrobocia rejestrowanego wynosiła 5,1 proc. Dwa lata później osiągnęła poziom 6 proc. Liczba zarejestrowanych bezrobotnych wzrosła z 797,1 tys. do 934,3 tys. osób – to przyrost o 137,2 tys. ludzi. Owszem, część ekonomistów zwraca uwagę na zmiany w przepisach dotyczących rejestracji bezrobotnych, które weszły w życie w połowie 2025 r. Ale nawet po uwzględnieniu tego faktu trudno mówić o pozytywnym wpływie miliardów z KPO na rynek pracy. A to właśnie na tym rynku pojawiają się nader niewygodne dla rządu pytania, z których najdelikatniejsze brzmi: do czyich kieszeni trafiły monstrualne miliardy z Brukseli?

TADEUSZ JASIŃSKI

Rządzenie im się znudziło

Parę przykładów na to, ile koalicja robi, by stracić władzę

Samochód w Polsce jeszcze niedawno był rzeczą niezbędną do funkcjonowania jak patelnia czy buty, dziś coraz częściej staje się dobrem luksusowym, które państwo próbuje reglamentować nie ceną w salonie, ale przepisami na stacji diagnostycznej. I nie jest to żadna publicystyczna przesada, tylko prosty wniosek z liczb i planowanych przez państwo zmian, które dotkną miliony ludzi.

Pan już nie pojedzie

Bo Polska to kraj, w którym po drogach jeździ ponad 20 mln samochodów osobowych, z czego ogromna część to auta stare, a średni wiek przekracza już 14 lat, co oznacza, że większość pojazdów pamięta czasy, gdy normy emisji były znacznie łagodniejsze, a diesle uchodziły za ekonomiczne rozwiązanie dla ludzi, którzy liczyli każdy litr paliwa, a nie emisję cząstek stałych.

I właśnie te auta znalazły się dziś na celowniku, bo nowe przepisy mają zaostrzyć kontrole emisji spalin, a w szczególności dotknie to silniki wysokoprężne, czyli diesle z racji wieku i konstrukcji mające większy problem z utrzymaniem parametrów wymaganych przez nowe urządzenia pomiarowe, które mają być dokładniejsze i mniej wyrozumiałe.

W praktyce oznacza to tyle, że samochód, który dziś przechodzi badanie techniczne, po zapowiadanych zmianach go nie przejdzie, a różnica nie będzie wynikała z nagłego pogorszenia stanu auta, tylko z podniesienia poprzeczki.

Koszty dostosowania starego samochodu do najnowszych norm są niemałe, bo naprawa układu oczyszczania spalin w dieslu, czyli filtrów DPF czy układów EGR, potrafi kosztować od 2 do 5 tys. zł, a w bardziej skomplikowanych przypadkach jeszcze więcej, co przy wartości samochodu wynoszącej 6, 8 czy 10 tys. zł oznacza, że naprawa pochłonie połowę albo nawet całość wartości pojazdu, co dla wielu kierowców jest ekonomicznie nie do przyjęcia.

Bo jeśli ktoś zarabia 5 czy 6 tys. zł miesięcznie, to wydatek rzędu kilku tysięcy oznacza konieczność odkładania przez wiele miesięcy albo zadłużenia się,

a jeśli takich wydatków się nie udźwignie, to samochód znika, a wraz z nim możliwość dojazdu do pracy, szkoły czy lekarza, szczególnie w mniejszych miejscowościach, gdzie komunikacja publiczna de facto nie istnieje.

Powód tych zmian jest oczywiście szczytny, bo chodzi o walkę ze smogiem i poprawę jakości powietrza, a także o bezpieczeństwo na drogach, bo sprawniejszy technicznie samochód to mniejsze ryzyko awarii. Gdy jednak zestawi się to z realiami, to widać, że ciężar tej walki spada przede wszystkim na tych, którzy mają najmniej, bo to oni jeżdżą najstarszymi autami i to oni będą musieli ponieść największe koszty dostosowania się do nowych wymogów. A nowe samochody kosztują dziś dziesiątki, a często setki tysięcy złotych – nawet kilkuletnie auta to wydatek rzędu 30, 40 czy 50 tys. zł, czyli kwoty kompletnie poza zasięgiem wielu gospodarstw domowych.

Robimy to dla dobra wszystkich – opowiadają politycy, bo takie zdanie zawsze dobrze wygląda w uzasadnieniu przepisów. Ale to dobro rozkłada się bardzo nierówno i dla jednych oznacza czystsze powietrze, a dla innych konieczność rzucenia pracy, do której nie będzie jak dojechać, czy leczenia.

Pokaż, lekarzu, co masz...

Zdawałoby się, że państwo wie o nas wszystko, ale gdy przychodzi co do czego, to nagle nic nie wie i musi zaczynać od zera. Tak wynika bowiem z pomysłu, który pojawił się w resorcie zdrowia, a sprowadza się do tego, aby zacząć zbierać dane o zarobkach medyków.

Pomysł wygląda niewinnie, a nawet sensownie, bo przecież wiedza o wynagrodzeniach lekarzy, pielęgniarek czy ratowników medycznych wydaje się potrzebna. Tyle że ministerstwo chce budować nową bazę danych dla setek tysięcy pracowników ochrony zdrowia i zatrudnić ko-

eprasa.pl b1eaaf6b5b

Czarnkowe lekcji polityki

Żywot człowieka niepoczciwego

Nie sposób zgodzić się z podtytułem książki o Przemysławie Czarnku autorstwa Justyny Sucheckiej i Piotra Szostaka: „Biografia nieedukacyjna”. Bo losy tego indywiduum są bardzo pouczające: dają praktyczne lekcje o prawicy w naszym wesołym kraju, pokazują, jak można osiągnąć niecodzienny sukces. A nie jest to być może – co stwierdzam z nieukrywaną przykrością – ostatnie słowo Czarnka, który nie kryje swych ambicji prezydenckich.

Jakkolwiek kojarzy się on z Lublinem (skąd jest posłem, wcześniej był wojewodą lubelskim), pochodzi z podsieradzkiej wsi Goszczanów. Start w życie miał dość chujowy – ojciec zapadł na stwardnienie rozsiane, a matka zmarła na nowotwór. Charakter tego chłopaka ukształtował w znacznym stopniu wuj – ksiądz profesor Jerzy Pałucki, który opiekował się nim jako nastolatkiem.

Postanowiłam ułożyć trzy najważniejsze lekcje, jakie daje swym życiem Czarnek. Powinno mu się to spodobać, wszak wierzy w Boga w trzech osobach i hołduje trzem cnotom boskim – wierze (w Kaczyńskiego), nadziei (że czeka go świetlana przyszłość) i miłości (własnej). Prawicowcy nie są szczególnie bystrzy, więc trzy lekcje to jak dla nich aż nadto dość.

Lekcja pierwsza: dbaj o swojaków

Idol nastolatek Bedoes rapuje w kultowym kawałku „Rewolucja romantyczna”: „Jestem zawsze z gangiem, jak Teletubisie”. Czarnek też wykazuje się daleko posuniętą troską o swój gang, nigdy go nie opuszczając i troszcząc się, aby jego ludziom nie zabrakło niczego, najlepiej z państwowej kiesy.

W Święto Niepodległości w 2021 r. Czarnek został honorowym obywatelem rodzinnej gminy, gdyż „będąc na stanowisku urzędnika państwowego, wielokrotnie wspierał gminę Goszczanów, a także promował ją, podkreślając swoje korzenie. Jako wyrazista postać w świecie polityki, wielokrotnie stawał w obronie podstawowych wartości, tradycji i rodziny”.

Nieco wcześniej dyrektorka podstawówki z Goszczanowa Aleksandra Maryniaczyk dostała od niego Nagrodę Ministra Edukacji i Nauki. Chwilę później do Rady Dzieci i Młodzieży Czarnek powołał łódzkiego studenta prawa Bartosza Pałuckiego, który wcześniej ukończył tę samą wiejską podstawówkę co on. Pałucki z dumą podkreślał, że z ministrem edukacji łączy go też wspólny przodek, który żył w XIX w.

Ochotniczy strażacy z Goszczanowa w 2020 r. dostali z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej nowy wóz strażacki za prawie milion złotych. Dwa lata później Czarnek oblał wóz szampanem, dokonując uroczystego odbioru pojazdu. Goszczanowska OSP dostała też w ramach „willi plus” 85 tys. na zakup wyposażenia – co wydała na zestaw do prezentacji multimedialnych, RTV i krzesła. Pewnie puszczają gawiedzi filmiki z gaszenia pożarów.

À propos „willi plus”: Czarnek nie miał oporów, aby z kasy swego resortu przekazać grubą, liczoną w dziesiątkach milionów kasę organizacjom wspierającym PiS i jego osobiście. Takiej szczodrobliwości nikt nigdy nie zapomni; trafianie do serc przez kieszeń jest zwykle skuteczne.

Polityk, od lat związany z KUL-em, zawsze też dbał, aby ta uczelnia miała jak u Pana Boga za piecem.

Lekcja druga: religia to też polityka

Są tacy katolicy, w Polsce stanowiący tzw. milczącą większość, dla których religia to zbiór rytuałów – chrzty, śluby, pogrzeby, czasem niedzielne msze – niemających większego wpływu na codzienną egzystencję. Dla kandydata prezesa na premiera religia to oręż w walce politycznej; kastet, jakim okłada się przeciwników w walce o rząd dusz i głosy w wyborach.

Czarek jest niczym gwiazda pop, która robi oszałamiającą karierę, nagrywając wciąż takie same piosenki, trafiające w gusta przyzwyczajonej do banalnych melodii publiczności. Już inżynier Mamoń mówił, że Polak lubi tylko te piosenki, które zna, a co jest bardziej polskiego od katolicyzmu?

Fundamentalizm katolicki i jego proste jak budowa cepa hierarchie są promowane przez Przemasa z oślim wręcz uporem. Doskonale on wie – bo mu Bozia ustami klechów to wyłuszczyła – co bliźni ma robić, zwłaszcza jak ów bliźni jest kobietą. Ma rodzić dzieci: „Zwierzęta to wiedzą, dziki to wiedzą, a my nie wiemy. My zatraciliśmy instynkt samozachowawczy jako gatunek, już nie mówię: jako chrześcijanie”.

Powyższa, najsłynniejsza przed „OZE-sroze” wypowiedź Czarnka, była uzupełniona egzegezą roli kobiety, której mówi się dziś „idź i pracuj, jeździj na traktorze, na kombajnie, rób karierę” – co, zdaniem Przemasa sprowadza się do „tłumaczenia kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez Pana Boga powołana”...



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Lekcja trzecia: zdrowy kościec ideologiczny

W 2006 r. – za pierwszego PiS-u – Czarnek obronił na KUL-u doktorat pt.: „Zasady państwa prawnego i sprawiedliwości społecznej w praktyce ustrojowej III Rzeczypospolitej Polskiej”.

W swej dysertacji przyszły minister edukacji potrafi dać ideologiczną podbudowę hasłu o konieczności budowy IV Rzeczypospolitej, zdradzie Okrągłego Stołu, walce z postkomunistycznym układem i liberalnym salonem, konieczności odnowy moralnej. Od czasu do czasu w pracy sięga po asa z rękawa: cytat ze św. Tomasza z Akwinu. Dowiadujemy się też, że III RP to „kontynuatorka państwa tworzonego w latach 1944–1945, a od 1952 noszącego nazwę Polska Rzeczpospolita Ludowa”, negującego „najlepsze tradycje niepodległego państwa przedwojennego”.

Czarnek twierdzi, że – wyłączając oczywiście PiS – elity solidarnościowe zdradziły Polskę i Polaków, pozwalając nomenklaturze miękko lądować w nowym systemie, zarówno politycznie, jak i biznesowo. Co gorsza, III RP to państwo, które „nie wyrzekło się zła”.

Chłop nie bierze jeńców: „W III RP oprawcy i pokrzywdzeni zastanawiają się wspólnie nad sposobem i w ogóle sensem weryfikacji dokumentacji byłych organów bezpieczeństwa państwa (…) Próbuje się szukać pomocników oprawców, gdy tymczasem osoby bezpośrednio odpowiedzialne za niegodziwości PRL sprawują najwyższe funkcje publiczne w nowym państwie”.

Oczywiście zdrowy kręgosłup moralny nie wyklucza pospolitego – aczkolwiek, biorąc pod uwagę rozmach, może właśnie niepospolitego – cwaniactwa. Czarnek nie jest głupi i to czyni go szczególnie groźnym, zwłaszcza w połączeniu z pracowitością i brakiem skrupułów. Doskonale obrazuje to fakt, że ma doktorat i habilitację z nauk prawnych – dba, aby od strony formalnej wszystko grało. Jak ulał pasuje do niego to, co przed laty śpiewał Kazik o bohaterze afery Art-B: „papiery tak rozpisał, by to było legalne”. Uśmiechnięta koalicja nie potrafiła znaleźć żadnych uchybień ministra w programie „willa plus”, choć z pewnością próbował tego niejeden usłużny wobec niej prokurator.

KATARZYNA KOENIG



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

– Loda za darmo będą mogły zrobić tylko dziewczyny z czerwonym paskiem – powiedział książę na białym koniu. Ani stary, ani młody, ani wysoki, ani niski, ani gruby, ani chudy, ani ładny, ani brzydki.

Przeciętny książę z Dubaju.

Pierwsza od stołu wstała Dorota, przecudnej urody brunetka. Pokazała w uśmiechu śnieżnobiałe zęby, podniosła i tak już zadarty nos, wyciągnęła łabędzią szyję. Miała na sobie sukienkę przepasaną czerwonym paskiem. Rozkołysanym krokiem zanurzyła się w wiele obiecującej mgle.

Druga była Magda. Oliwkowa cera, orzechowe oczy i czerwony pasek podtrzymujący dżinsy na krągłych biodrach. Weszła w mgłę, nawet się nie obejrzawszy.

Kolejno wstawały i znikały we mgle pozostałe dziewczyny: Beata i Renata, Zuza i Iza, Kasia i Basia. Oraz Maja. Wszystkie piękne, wyglądające na bystre.

Nieprzeciętne.

W końcu przy stole została sama jak kołek rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak. Na sukience miała zapięty szeroki, błyszczący i opatrzony złotą klamrą pasek. Czarny.

– Nie zrobię darmowego loda – budząc się, jęknęła zlana potem.

I chociaż to był tylko sen, to po wstaniu z łóżka Monika czuła, po prostu czuła, że problem lodów rozdawanych w Pszczynie uczniom, którzy mieli świadectwa z czerwonym paskiem, musi rozwiązać definitywnie i radykalnie.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

lejne dziesiątki urzędników. Żadna z zatrudnionych tam osób nie zauważyła, że rząd ma największą możliwą bazę informacji o dochodach obywateli, czyli system podatku PIT?

Bo jeśli przyjąć, że w Polsce w ochronie zdrowia pracuje kilkaset tysięcy osób, to po cholerę powoływać nowe struktury i kanały przepływu informacji finansowych, skoro każdy z tych ludzi składa deklarację PIT, w której wykazuje swoje dochody z dokładnością co do złotówki, a państwo te dane gromadzi, przetwarza i analizuje.

Eksperci alarmują, że tworzenie nowego systemu zbierania danych oznacza kolejne koszty, kolejne procedury i kolejne obowiązki sprawozdawcze, które ktoś będzie musiał wypełniać, a ktoś inny sprawdzać i pójdą na to miliony złotych. Więcej pewnie, niż ludzie zbierają na zrzutkach Owsiaka i Łatwoganga. A przecież można po prostu sięgnąć do istniejących zasobów i wyciągnąć z nich to, co potrzebne, choćby w formie danych zagregowanych czy zanonimizowanych, co nie tylko byłoby tańsze, ale też szybsze i dokładniejsze.

Dane z PIT pozwalają nie tylko określić średnie wynagrodzenia w danej grupie zawodowej, ale także ich rozkład, mediany, różnice regionalne czy zmiany w czasie, a więc dokładnie to, czego potrzebuje każda administracja planująca politykę płacową. Rząd tego nie wie? Czy udaje, że nie wie, bo trzeba zatrudnić kolejnych krewnych i znajomych władzy?

Szmaty unijności

Jeśli ktoś myśli, że handel ubraniami to przewiezienie kilku kartonów z hurtowni na bazar i ich sprzedaż, to najwyraźniej nie zna współczesnej polskiej deregulacji, w której nawet para butów potrafi stać się przedmiotem zainteresowania systemu stworzonego do walki z przekrętami importowymi. Bo gdy przyjrzeć się temu, czym jest system SENT, to widać, że logika gdzieś po drodze się zgubiła.

SENT, czyli System Elektronicznego Nadzoru Transportu, powstał kilka lat temu jako narzędzie do monitorowania przewozu tzw. towarów wrażliwych, a więc takich, które łatwo znikają z oficjalnego obrotu, jak paliwa, alkohol czy oleje – czyli w branżach, w których państwo realnie traciło miliardy złotych na wyłudzeniach podatkowych. Miało sens, bo pozwalało śledzić transporty, kontrolować ich przebieg i reagować na nieprawidłowości, zanim towar rozpłynie się gdzieś między granicą a stacją benzynową.

Sęk w tym, że system, który miał pilnować miliardów, zaczął zajmować się tysiącami, a potem setkami, aż w końcu doszedł do poziomu, na którym obejmuje nawet przewóz odzieży i obuwia, czyli towarów, które z natury rzeczy nie należą do kategorii wrażliwych w rozumieniu fiskusa, bo nie są ani objęte szczególną akcyzą, ani nie stanowią podstawowego źródła wielkich oszustw podatkowych.

Każdy bowiem transport objęty SENT musi zostać zgłoszony do systemu, trzeba wprowadzić dane nadawcy, odbiorcy, przewoźnika, określić rodzaj towaru, jego ilość i trasę przejazdu, a następnie wygenerować specjalny numer referencyjny, który musi towarzyszyć transportowi, a jeśli się tego nie zrobi, to państwo przywala karę.

Ta zaś za brak zgłoszenia transportu albo jego nieprawidłowe zgłoszenie sięga nawet 46 tys. zł, czyli kwoty, która dla wielu firm z branży odzieżowej oznacza więcej niż wartość przewożonego towaru, bo jeśli ktoś jedzie z partią ubrań wartą 8 czy 10 tys. zł, co w handlu bazarowym jest normą, to ryzykuje sankcję cztero- lub pięciokrotnie wyższą niż to, co ma na pace.

Branża odzieżowa to w Polsce tysiące przedsiębiorców, z których ogromna część to małe, często rodzinne firmy, żyjące z niewielkich marż i pracujące w systemie częstych, ale niedużych dostaw. To zaś oznacza, że takich transportów są dziesiątki tysięcy miesięcznie, a każdy z nich podlega obowiązkowi raportowania, a więc niesie ze sobą ryzyko błędu i kary.

Wszystko to dzieje się w państwie, które dysponuje ogromną bazą danych o działalności gospodarczej, bo każdy przedsiębiorca składa faktury i deklaracje podatkowe, a mimo to uznano, że to za mało i trzeba jeszcze wiedzieć, czy i kiedy przewoził kilka par butów z punktu A do punktu B. W efekcie przedsiębiorca zamiast zajmować się handlem musi raportować, pilnować numerów, zgłoszeń i procedur, a jeśli coś pójdzie nie tak, to zamiast pouczenia dostaje rachunek na kilkadziesiąt tysięcy złotych, po którym już się nie podniesie.



Rys. MARCIN CHUDZIK

„Deregulujemy gospodarkę” – to zdanie Tuska brzmi szczególnie ciekawie, gdy zestawi się je z SENT, który z narzędzia do walki z miliardowymi nadużyciami stał się mechanizmem kontrolowania przewozu ubrań i obuwia. Dodajmy do tego naprawę systemu zdrowia przez tworzenie w nim kolejnych niemedycznych etatów czy powiększanie wykluczenia komunikacyjnego i nie dziwmy się, że kilka ugrupowań zaciera żądne władzy łapy przed przyszłorocznymi wyborami.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl b1eaaf6b5b

SŁOWO CZERWONE

Mentzen nie rozumie

Artyści są potrzebni

Miarą sztuki nie jest pieniądz. Bo gdyby tak było, Mentzen musiałby van Gogha nazwać nierobem. A przecież człowiek, który jak nikt inny potrafił na płótno przenieść światło słoneczne, zaharowywał się na śmierć, aż do szaleństwa. Żył i umarł w biedzie, bo w jego czasach nie brakowało Mentzenów.

Podjęcie pracy artystycznej to duża odwaga. Trzeba mieć wielką wiarę i pasję, żeby bez żadnych gwarancji sukcesu rzucić się w wir tworzenia literatury, muzyki, obrazów. Nie ma przecież etatowych malarzy, rzeźbiarzy, pisarzy. Są twórcy. Jedni mają powodzenie jeszcze za życia, inni po śmierci, a większość wcale. Tak działa ta loteria zawieszona między gustami publiczności a talentami i wysiłkami artystów.

Sławomir Mentzen patrzy na sztukę jak handlarz na towar. I z pewnością nie uzna za nieroba gościa produkującego dobrze sprzedające się jelenie na rykowisku, w odróżnieniu od ambitnego malarza, który być może właśnie wyprzedza swą epokę. Czy musimy zachować stare wzorce, w myśl których twórcy plują krwią na nieogrzanych poddaszach i przymierają głodem, zapadając na suchoty? Nie sadzę: życie twórcy – i tego wybitnego, i tego, który minął się z powołaniem – może być lżejsze, skoro Polska nigdy nie była tak bogata jak teraz.

Stać nas, żeby to – niezbyt liczne zresztą – grono ludzi parających się sztuką mogło dożyć godziwych emerytur. Dopłacanie do ich składek emerytalnych z pewnością nie jest mniej uzasadnione niż to, co już robimy, dopłacając z Funduszu Kościelnego do składek duszpasterzy.

Jeżeli w wielu formach państwo dopłaca do nieudanych biznesów, to może dopłacać do artystów, którzy nie odnieśli komercyjnego sukcesu.

W ogóle skąd ten pomysł, że ten, kto na rynku przegrywa, mniej pracuje, mniej się stara? Prowadzących deficytowe interesy biznesmenów nie nazywamy przecież nierobami. Oni w ciężkim trudzie zamieniają często złotówkę na 50 groszy. Ale nikt ich o lenistwo nie oskarża. Bo gonią za zyskiem, podczas gdy artyści za jakimś ulotnym pięknem. Utożsamianie finansowego niepowodzenia z lenistwem jest głupie i szkodliwe. Ludzie mogą nie sięgnąć po pióro, pędzel, dłuto z obawy przed porażką i narażeniem się na szyderstwo i poniżenie ze strony różnych pieszczochów fortuny, którym akurat wyszło. Tak samo jak nie byłoby start-upów bez tysięcy nieudanych prób.



Na rynku sztuki – czy w ogóle na rynku – jest mnóstwo starających się i niewielu zwycięzców. Ci, którzy nie zdołali zarobić, wygrać w wyścigu – nie są godni politowania. Ich próby, ich trud także są godne szacunku.

Znałem wybitną profesorkę prawa karnego, która pisała znakomite książki o winie. W tym celu czytała traktaty filozoficzne w obcych językach. A wszystko to robiła, siedząc i polegując na kanapie. Pracująca u niej pomoc domowa, pani Jadzia, szydziła z jej „lenistwa", bo wciąż ją widziała wylegująca się. Czytając wywody posła Konfederacji, mam wrażenie, że reprezentuje on podobny kapitał kulturowy jak pani Jadzia. Znam mnóstwo ludzi, którzy wolą rąbać drzewo, sprzątać po budowie niż cokolwiek napisać, np. wiersz. Bo żeby być poetą, trzeba podjąć trud myślenia, marzenia, bujania w obłokach. Nie każdy będzie Słowackim, ale pisanie wierszy to zajęcie kulturotwórcze. Tak jak malowanie pejzaży czy rzeźbienie w skale. Twórczość jest trudniejsza i wymaga więcej wysiłku niż rutynowe, powtarzalne prace. Gdyby tysiące ludzi wrażliwych nie podejmowały ryzyka poświęcenia życia sztuce, nie wykluwaliby się geniusze.

Nawet nie umiem sobie wyobrazić życia bez sztuki i jestem artystom wdzięczny za ich trud, za podejmowane ryzyko, za wysiłki, by stworzyć coś wspaniałego, niepowtarzalnego.

Było raz dwóch przyjaciół. Znali się jeszcze z czasów hippisowskich. Wojtek założył artystyczną spółdzielnię socjalną, która prowadziła pracownię artystyczną, gdzie dzieci i dorośli mogli przychodzić i uczyć się sztuk plastycznych. Krzysiek dał się namówić na bycie wiceprezesem spółdzielni. Nic jednak na tym stanowisku nie robił i nie brał od spółdzielni ani grosza. Uczył ludzi z miłości do sztuki. Wojtek źle rozliczył się z dotacji i przyznał się do tego. Ale wcześniej zapobiegliwie wyzbył się wszelkiego majątku. Gdy państwo upomniało się o zwrot zachachmęconych przez Wojtka pieniędzy, okazało się, że obaj mają spłacać solidarnie. Tylko że Wojtek już nic nie miał na siebie, a Krzysiek ma małą kawalerkę i 2100 zł emerytury. Nie jest w stanie spłacić 120 000 zł. Więc zlicytują mu jedyny dach nad głową. Krzysiek jest wybitnym artystą plastykiem, który wiele ze swych prac rozdaje w prezencie. Będzie więc artystą bezdomnym. Wojtek jest zamożny, bo umiał się o siebie zatroszczyć, wpędzając jednocześnie kolegę w kłopoty. Wojtek daje radę i z pewnością Mentzen nie nazwie go nierobem. Raczej pochwali za zaradność, a Krzyśka obejmie swoją pogardą dla tych, którzy przegrywają.

Ludzie pokroju Mentzena nie rozumieją piękna ani pogoni za pięknem. Życia dla sztuki, a nie ze sztuki. Znam aktorów, którzy zarabiają tak mało, że muszą nocować w teatrze. Ale tak bardzo kochają swój zawód, że płacą tę cenę. Większość ludzi parających się sztuką żyje w niedostatku. Jak wielka musi być ich wola tworzenia, jak wielka miłość do sztuki, że godzą się na poniewierkę w nadziei, że odniosą sukces, że ich wysiłki zostaną docenione? Nazwanie ich wszystkich nierobami ma poskutkować powszechnym potępieniem wszystkich tych artystów, którzy mało zarabiają. Kłamstwo, że wszyscy oni nie dość się starają – to podłość. To próba wywołania hejtu ze strony innych biednych ludzi, których emerytury są niskie, bo robili na śmieciówkach albo mieli nieuczciwych pracodawców, którzy nie odprowadzali składek. Polskę stać na wspieranie artystów. Jesteśmy narodem kulturalnym, który kocha sztukę. Mamy w sobie dość solidarności i empatii, żeby dołożyć parę groszy do chudego portfela ludzi sztuki.

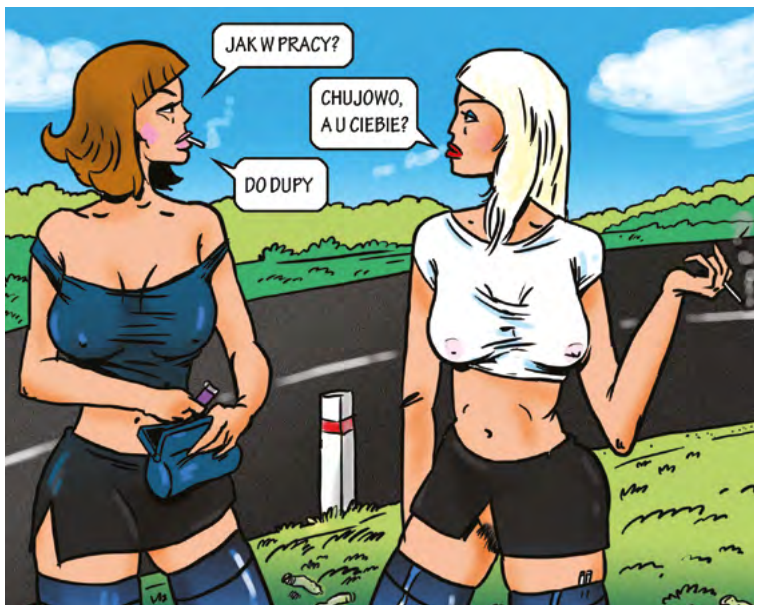
PIOTR IKONOWICZ

Ciało na etat, ciało na pokutę

Guzik paniki kontra afera podkarpacka

W Belgii, kraju skądinąd znanym głównie z frytek, czekolady i tego, że potrafi miesiącami nie mieć rządu, zrobiono rzecz dla polskiego kołtuna-ustawodawcy zupełnie niewyobrażalną. Zauważono oficjalnie to, co nieoficjalnie jest jasne dla każdego: że seks, stosunki seksualne oraz pracownice i pracownicy seksualni istnieją. Nie jako grzech, skandal, zgorszenie. Jako ludzie pracy.

Od grudnia 2024 r. seksworkerzy mogą tam podpisywać umowy o pracę. Mają prawo do ubezpieczenia zdrowotnego, chorobowego, płatnego urlopu, zasiłku dla bezrobotnych, emerytury. Mogą nawet więcej niż sprzedawca w McDonaldzie: mogą odmówić obsługi klienta, odmówić konkretnej usługi, przerwać czynność w każdej chwili – i nie wolno ich za to ukarać ani zwolnić z pracy. Pracodawca musi mieć oficjalną akredytację, nie może być szemranym typem po wyroku za przemoc, handel ludźmi czy gwałt. Musi zapewnić środki ochrony, czystą pościel, prysznic i przycisk alarmowy. Proszę państwa: guzik paniki! Pełna profeska. W Polsce nie do pomyślenia!



Bo polski model jest jak zwykle najlepszy. Wybitny w skali hipokryzji. Samo świadczenie usług seksualnych nie jest u nas przestępstwem. Państwo mówi więc: możesz. Ale zaraz dodaje: nie jesteś pracownikiem czy pracownicą ani nie prowadzisz jednoosobowej działalności gospodarczej; nie masz normalnej umowy, nie masz normalnego miejsca pracy, nie masz szefa, bo szef byłby sutenerem ściganym pod rygorem art. 204 § 2 Kodeksu karnego, nie masz koleżanki czy kolegi organizujących wspólne bezpieczeństwo – bo może „ułatwia"… Ale jest przywilej: nie płacisz podatku, bo dochód z czynności „niegodnej prawnie skutecznej umowy" jest moralnie podejrzany, a taki „brudny" pieniądz nie może być opodatkowany. Czyli wolno ci pracować pod warunkiem, że oficjalnie nie pracujesz. Dziwne, że emeryt oficjalnie nie pracuje, a podatki płaci.

To jest klasyczna polska myśl społeczna: człowiek ma ciało, ale ciało nie ma praw. Zamiast własnego sumienia, ma cudze. Ma przecież klechę, który wie lepiej, co człowiek ma ze swym ciałem zrobić. Ma polityka, który w dzień broni „godności człowieka", a wieczorem korzysta z nieopodatkowanej pracy seksualnej, którą boi się nazwać pracą z powodu owego lokalnego księdza i narodowej „tradycji".

Belgowie nie zlikwidowali przemocy, kapitalistycznego wyzysku ani stygmy jednym aktem prawnym. Nikt rozsądny tego nie twierdzi. Zrobili jednak coś oburzająco świeckiego: zamiast modlić się nad „upadkiem obyczajów", zapytali, jak zmniejszyć krzywdę. W Polsce woli się udawać, że od „moralnego oburzenia" zniknie rynek, klienci, przemoc.

W Belgii pracownicy seksualni mogą powiedzieć: „nie". W Polsce też mogą. Tyle że belgijskie „nie" ma za sobą prawo pracy, ubezpieczenie i przycisk alarmowy. A u nas?

My mamy „aferę podkarpacką". Dziennikarze Onetu opisują, jak „polskie państwo chroniło, wspierało i balowało z sutenerami". W tej sprawie ABW zatrzymała „obecnego funkcjonariusza CBŚP, dwóch byłych funkcjonariuszy tego biura i jednego byłego agenta CBA", którzy brali udział w tworzeniu parasola ochronnego nad inkryminowanymi agencjami na Podkarpaciu. Co najmniej pół tysiąca kobiet padło ofiarą handlu ludźmi i wykorzystywania do prostytucji, z czego korzystali także oficerowie Centralnego Biura Śledczego.

Amen.

ANNA GRODZKA

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Tęcza na Placu Zbawiciela, która w nowej wersji miała być odporna na ogień, spłonęła, zanim ją postawiono – tym razem w pożarze urzędniczego tchórzostwa i artystycznego focha. Julita Wójcik, autorka pierwowzoru, pilnuje swoich praw autorskich z gorliwością godną inkwizytora, uznając nową instalację za plagiat. Woli najwyraźniej, by plac świecił pustką, niż by stało na nim coś, co nie wyszło spod jej ręki. Efekt jest taki, że 10 699 głosów Warszawiaków w budżecie obywatelskim, którzy poparli tęcze, ma dziś taką samą wartość jak obietnice wyborcze – czyli żadną. Pytacie, czy Plac Zbawiciela to właściwe miejsce dla symbolu LGBT? Ależ oczywiście. Jezus, jak uczy historia, był bezdzietnym kawalerem, który całe dnie spędzał w towarzystwie 12 chłopów, więc tęczowa flaga pod jego oknami to nie żadna prowokacja, lecz subtelne nawiązanie do stylu życia patrona placu.

▮ Najbardziej obleganą postacią majowych Międzynarodowych Targów Książki na Stadionie Narodowym w Warszawie nie był żaden mędrzec, lecz Justyna Kwil – autorka dzieła o „(Nie)udanym życiu seksualnym Polek". Książka, będąca zapewne mieszanką wątków autobiograficznych i cudzych nieszczęść, udowadnia, że pożycie w tym kraju to po prostu jedna wielka katastrofa. Patrząc na spadającą na łeb na szyję dzietność, można odnieść wrażenie, że Polki postanowiły wymrzeć z braku satysfakcji, a trend ten będzie się tylko pogłębiał. Na szczęście dla równowagi mamy Pornhuba. Tam, w przeciwieństwie do polskich sypialni, życie seksualne światowej populacji wygląda na radosne, udane i pozbawione zbędnej martyrologii. Polak woli jednak postać w kolejce po opis cudzej porażki niż samemu sprawdzić, czy świat rzeczywiście bawi się tak dobrze, jak to pokazują w internecie.

▮ Polska truskawka przeżywa tragedię. Zamiast kosztować tyle co gram kokainy, staniała do marnej dychy za kilo. Plantatorzy rwą włosy z głów, bo niewidzialna ręka wolnego rynku, którą tak chętnie całowali przy wysokich cenach, nagle zaczęła ich dusić. Okazuje się, że kapitalizm jest wspaniały tylko wtedy, gdy strzyże się innych; gdy strzygą ciebie, nagle tęsknisz za interwencjonizmem i państwowym cycem. Rolnictwo chciałoby 40 zł za kilogram. Wolny rynek to jednak brutalny kochanek – najpierw obiecuje złote góry, a potem zostawia cię z pełnym łubianek polem i pustym portfelem.

▮ Aleksander Szymański, szef notariuszy, ogłosił narodową żałobę: zawód rejenta przestał być kopalnią złota. Biedacy zamykają kancelarie, bo stawki nie drgnęły od dwóch dekad, a koszty rosną. W Warszawie na jednego notariusza przypada niecała jedna sprzedaż mieszkania tygodniowo. Straszne? Za ten jeden podpis przy umowie na pół miliona rejent kasuje 3400 zł. Większość Polaków musi na taką kwotę tyrać dwa tygodnie, a notariuszowi wystarczy godzina i sprawny długopis. Jeśli to jest nędza, to życzę jej każdemu górnikowi i pielęgniarce.

▮ Ministerstwo Cyfryzacji spłodziło aplikację Mąż Zaufania. Aplikacja miała za zadanie umożliwić mężom zaufania komisji wyborczych łatwe dokumentowanie nieprawidłowości. Za skromne 2 mln zł państwo polskie zafundowało sobie cyfrowy gadżet, z którego w 2023 r. skorzystało osiem osób. Osiem. Każdy z tych ośmiu wybrańców kosztował podatnika ćwierć miliona na głowę. Mimo że projekt okazał się trupem, władza postanowiła go reanimować za kolejne setki tysięcy. W 2025 r. sukces był oszałamiający: zarejestrowało się aż 20 użytkowników. To już prawie drużyna piłkarska wraz z trenerem i rezerwowymi. Największą nieprawidłowością wyborczą, jaką wykryła ta aplikacja, jest fakt jej istnienia oraz faktura za jej stworzenie.

▮ Gliwice kuszą świat wielkich technologii. Miasto ogłosiło „nowe" ulgi w podatku od nieruchomości dla branży nowoczesnych technologii, zapominając dodać, że owa nowość ma już 17 lat. Pierwszy raz te same dobrodziejstwa uchwalono w 2007 r., obiecując inwestorom taniochę przez dwie dekady. Efekt? Przez niemal 20 lat gliwickie parki technologiczne i inkubatory zachowały nienaruszoną, klasztorną czystość – nie splamiła ich stopa ani jednego poważnego gracza z branży hi-tech, który zechciałby skorzystać z hojności radnych. Skoro przez 19 lat nikt nie połaszczył się na darmowe grunty i budynki, można przypuszczać, że problemem nie jest wysokość daniny, lecz sama konieczność prowadzenia interesów w Gliwicach.

▮ W Gdańsku śmierć przestała być końcem kłopotów, a stała się początkiem kosztownej eksploatacji. Poseł Kacper Płażyński wraz z branżą pogrzebową zaskarżyli do sądu administracyjnego gdański cennik za wieczny odpoczynek. Kością niezgody jest tzw. opłata eksploatacyjna: ponad 3 tys. zł za pochówek tradycyjny i prawie 2 tys. za urnę. Skarżący twierdzą, że gdański fiskalizm cmentarny nie ma podstaw ustawowych i jest najdroższy w kraju. Władze miasta bronią się cyframi: utrzymanie nekropolii kosztuje 14,5 mln zł rocznie. Spór sprowadza się do tego, czy gmina może łatać budżet, opodatkowując milczenie zmarłych, czy też powinna trzymać się litery prawa, która o „eksploatacji sztywnych" milczy.

▮ Władza uznała, że polskie dzieci mają zbyt miękkie czaszki, więc od czerwca każdy małolat na kółkach musi nosić na łbie plastikowy garnek. Jeśli rodzic nie dopilnuje tej estetycznej zbrodni, zapłaci stówę mandatu. Dla dorosłych natomiast przygotowano bat w postaci punktów karnych, które parują dopiero po opłaceniu haraczu. To genialne: czas pokuty nie zależy już od daty grzechu, lecz od szybkości przelewu. Państwo nie chce, byś jeździł wolniej, ono chce, byś płacił szybciej i bał się

eprasa.pl b1eaaf6b5b



Walka klas albo walka w klasie

Jak reguła wyjątków zabija państwo

Ostatni ruch rządu dotyczący dopłat do składek na ubezpieczenie społeczne i zdrowotne dla artystów zawodowych to jedynie pozornie wyraz pięknej lewicowej wrażliwości i dbałości o sztukę i kulturę. W kraju galopującego wzrostu cen i umierania w kolejce do lekarza – a jednocześnie w ojczyźnie degresywnych podatków i w ogóle praktykowania klasycznego darwinizmu społecznego – jest to jednak ruch dodatkowo polaryzujący i jako taki szkodliwy. To projekt wprost wzmagający sprzeczności wewnątrzklasowe i niszczący resztki pracowniczego zaufania do państwa.

Biedny Bezos kontra frajerzy

Lista wszystkich tych, którym państwo dopłaca czy wręcz opłaca składki, i tych, którzy są zwolnieni z podatków na trochę lub na stałe, jest bardzo długa. Z budżetu państwa – patrz: z naszych podatków – opłacane są emerytury rolników (wydatek rzędu blisko 30 mld zł rocznie), emerytury wszystkich pracowników mundurowych i wszystkich duchownych. Na tym nie koniec przywilejów. Obowiązują tzw. wakacje składkowe dla firm, co oznacza, że przez jeden miesiąc w roku przedsiębiorstwa są wolne od opłacania składek na ZUS – patrz: opłaca je państwo. Młodzi do 26. roku życia zwolnieni są od podatku dochodowego, choćby zarabiali grube miliony. Firmy osiągające wysokie dochody mogą płacić podatek liniowy. Przywileje mnożą się i utrwalają na wieczność – jak choćby nieszczęsny KRUS – a państwo sukcesywnie opuszczają kolejni płatnicy.

W takim systemie podstawowym i normalnym sposobem na wsparcie od państwa – a nawet podwyżkę dochodu – jest zwolnienie z podatków i składek. Idea sprawiedliwości i solidaryzmu społecznego umiera – przecież wszyscy doskonale widzą, że beneficjentami tego wsparcia wcale nie są najsłabsi (tych jeszcze trzyma się na kroplówkach z resztkowego poczucia przyzwoitości).

Taki system szybko obrasta w rozmaitego typu patologie. Wystarczy wspomnieć o fikcyjnym samozatrudnieniu. Mamy także rozmaite fundacje rodzinne, w których wyspecjalizowały się ważne polityczne persony, później czyszczące sobie sumienia charytatywą. Fundacje takie wprost umożliwiają ukrywanie majątku i unikanie płacenia podatków. A po cichu największym frajerem utrzymującym cały ten budżet stał się przeciętny pracownik, gość, który nie ma żadnych ulg ani dopłat i któremu system otwarcie śmieje się w twarz, że jeszcze nie stał się jednoosobową firmą.

Jest to celowe okrawanie państwa i ma ono zniechęcić do podatków, do sprawiedliwej redystrybucji dochodów i wreszcie do samego państwa jako takiego. W takim systemie państwo zostaje przez pracownika utożsamione z przywilejami kast i rozmaitych wybrańców. W świetle panującej ideologii zaś uczciwie płacący podatki staje się niepełnosprytnym idiotą.

Rządzący stosują podatek i składkę niczym karę, wybrańcy są przez nich od tej kary zwalniani i wypuszczani na prawdziwą wolność. Tak właśnie mają myśleć wszyscy cierpiący w podatkowym więzieniu.

I nie jest to żadna plica polonica, żadne zjawisko wyłącznie lokalne. Pod takimi samymi hasłami w ostatnich tygodniach swą polityczną kampanię prowadzi też właściciel Amazona, amerykański oligarcha Jeff Bezos. Publicznie nawołuje do umorzenia podatków biedniejszej połowie społeczeństwa, której niespodziewanie zapragnął ulżyć. Jednocześnie twierdzi on, że nawet gdyby płacił wyższe podatki, to nie sądzi, by komukolwiek miało to pomóc.

To fałszywe zatroskanie ma jeden konkretny cel: utrwalić przywileje podatkowe najbogatszych, podkopać poparcie dla powszechnego opodatkowania, zantagonizować pracujących i narzucić pracownikom oligarchiczne pojmowanie systemu, zgodnie z którym podatek to kradzież i zbędna „danina społeczna".

Interpretację podatku jako zbędnej daniny czy wręcz kradzieży od dekad lansują także rodzimi liberałowie. A wszystko to dzieje się po to, aby klasa panująca mogła wciąż podsycać walkę klasową w samej klasie pracującej.

Rozsadzanie

W tym miejscu warto przypomnieć sobie kilka mniej popularnych tez marksizmu. Oprócz zasadniczej walki klas, tej pomiędzy pracownikami i posiadaczami, występują bowiem też inne formy walki klasowej.

Taką wewnątrzklasową, pracowniczą walką i rywalizacją zajmowali się klasycy polskiego marksizmu, Jarosław Ładosz i Stanisław Kozyr-Kowalski, gdy pisali o „zręcznym wykorzystaniu różnic między poszczególnymi grupami proletariatu" jako o fundamencie władzy elit nad masami pracującymi.

Znaczy to nie tylko, że rywalizacja pomiędzy pracownikami jest narzędziem celowo wykorzystywanym przez elity, ale także, że rywalizacja ta może rozsadzać wspólne interesy i czynić pracowniczą wspólnotę interesów zupełnie niemożliwą. W to właśnie gra polski liberalizm i temu sprzyja tworzenie wśród grup społecznych stu wyjątków. Chodzi o to, aby grupy te nigdy nie miały zbliżonego poziomu życia, zbliżonej sytuacji zarobkowej, składkowej, podatkowej i ogólnie zbliżonych interesów.

Popatrzmy z tej perspektywy na powstawanie rzeczonej ustawy dla twórców kultury. Początkowo składki na ubezpieczenie dla mniej zarabiających artystów miały być finansowane z funduszy pochodzących z samego środowiska artystycznego, to znaczy z opodatkowania najwyżej zarabiających artystów. Koncepcja ta upadła, ponieważ nie zgodziły się organizacje i stowarzyszenia twórców kultury – czyli mówiąc krócej, ci właśnie najwyżej zarabiający artyści. Zamiast tego przeforsowano finansowanie ubezpieczenia z budżetu. Oznacza to, że państwo miast niwelować różnice poprzez redystrybucję dochodów wewnątrz danej grupy zawodowej, utrzymuje je i podsyca. Co jeszcze ciekawsze, te same organizacje branżowe, które zrzekły się odpowiedzialności za całą grupę zawodową artystów, zdołały zapewnić sobie decydującą rolę w komisji, która przyznawać będzie status artysty zawodowego. A od tego właśnie statusu zależą dopłaty…

Dopłaty do świadczeń dla artystów mogłyby też pochodzić z tzw. opłaty reprograficznej, to znaczy opłaty doliczanej do ceny różnych nośników i urządzeń umożliwiających upowszechnianie dóbr kultury. Taką dopłatę stosują prawie wszystkie kraje w Europie. Ale u nas nowelizację ustawy, w której ostatnie zmiany wprowadzono już 15 lat temu i która jest już wręcz śmiesznie nieaktualna, skutecznie zablokował lobbing producentów tych właśnie nośników i urządzeń – głównie smartfonów.

Gdy opór wobec kapitalizmu jest świętokradztwem, a walki pomiędzy klasami udaje się wytłumić, jak zwykle pozostaje tylko walka wewnątrz tej samej klasy. Czyli resentyment i spory o okruchy, które świetnie wykorzystują prawicowi politycy. A prezesi, banksterzy, landlordzi, widząc to, zacierają ręce i sięgają po popcorn.

Mikropodarki zamiast myślozbrodni

Sytuacji tej sprzyja oczywiście wybitnie klasistowska polityka obecnego rządu. Oto rządzi nami bowiem koalicja zdominowana przez liberałów, którzy bardzo skutecznie pacyfikują wszelkie próby opodatkowania i oskładkowania najbogatszych. W kanał wpuszczona – w dodatku na własne życzenie – została także rządowa liblewica. Odkąd odmówiono jej wprowadzenia jakichkolwiek istotnych zmian, stara się ona często właśnie takim drobiazgiem i przyczynkarstwem zaskarbić sobie sympatię choćby niewielkich części społeczeństwa.

Ta praktyka mikropodarków, bez żadnych systemowych zmian, jest jednak dosłownie politycznym samobójstwem. Pracownicy zupełnie słusznie oceniają ją bowiem jako pogłębianie nierówności oraz wspieranie uprzywilejowanych kast. Dla samego premiera to zaś złoty interes: za jednym zamachem wspiera on kolejne elity, a także zrzuca wszelką odpowiedzialność na koalicjantów, w tym pożytecznie idiotyczną lewicę. Alternatywa, czyli dopłaty do emerytur dla wszystkich i progresywne opodatkowanie elit, jest zaś dla liberałów nie do pomyślenia. Bo nie jest elementem ich gry politycznej, nie nasila sprzeczności między pracownikami i nie zaostrza rygoru polskiego obozu biedapracy.

Walka klas i myślozbrodnia komunistyczna są w Polsce oficjalnie zakazane. Dziś świętymi są pracodawcy i krytycznie myśleć o nich po prostu nie można: dają nam pracę i mogą ją zabrać, i co wtedy będzie?

Pracodawcy zajęli niegdysiejsze miejsce Jana Pawła II. Oznacza to, że elity znajdują się pod parasolem ochronnym i cieszą się nietykalnością ze swoimi licznymi przywilejami – począwszy od liniowego podatku, a skończywszy na upośledzonej kontroli pracy, która specjalnie pozostaje wykastrowana. System przewrotnie walkę klas rozpętał w samej klasie wyzyskiwanej, która niestety ochoczo ją toczy. Jeśli szef jest święty, pozostaje krytyka sąsiada, znajomego, innych pracowników, obcych. Sprzątaczka ma za dużo, bo tylko sprząta, a każdy sprzątać potrafi. Artysta gówno umi, bo śpiewać każdy może. Informatyk to pasożyt, bo komputer sam wszystko robi. Wykształciucha-inteligenta zaraz zastąpi robot, a w ogóle to zbędna robocizna. Zostaję ja, niedoceniony, opluwany i okradany przez nich wszystkich, ja sam, któremu należy się więcej i który nie chce już nijak dokładać się do tego całego „socjalizmu" i patopaństwa, gdzie do specjalisty na NFZ mam za trzy lata…

I voilà, na białym koniu nadciągają zbawcy. Bezos, Mentzen i liberalni masakratorzy z piłą mechaniczną, którzy pochylają się nad nierównościami. Na gotowe przyjdzie Konfederacja i tym razem z PiS-em lub KO dorżnie resztki „danin" przy aplauzie samych pracowników. A sami artyści nie pomogą, owszem, zaśpiewają requiem.

TYMOTEUSZ KOCHAN



dłużej. Zamordyzm wchodzi nam do domów i garaży pod radosnym hasłem bezpieczeństwa. Nic tak nie ułatwia tresury narodu jak wmówienie mu, że wolność jest po prostu niebezpieczna dla zdrowia. Pod kaskiem łatwiej się milczy.

▮ Przemyski Fibris po 67 latach produkcji płyt pilśniowych sam stał się materiałem na trumnę. 100 mln zł długu. W Przemyślu w marcu po prostu odcięli prąd i nastała ciemność wiekuista. Blisko 300 pracowników od miesięcy żywi się nadzieją i ochłapami z ZUS-u, który łaskawie odblokował parę milionów z zajętych kont. Fibris przetrwał komunę, przetrwał transformację, ale nie przetrwał urzędniczej miłości. ZUS to jedyna instytucja, która potrafi dobić pacjenta w trakcie reanimacji, sprawdzając przy okazji, czy nieboszczyk nie zalega ze składką zdrowotną. W starciu z państwowym walcem nawet najtwardsza płyta pilśniowa pęka.

▮ Krakowscy stróże prawa odtrąbili sukces: po 30 latach wyciągnęli kobietę z pokoju, który był jej całym wszechświatem. Ojciec, domorosły klawisz, przez trzy dekady dbał, by córka nie skalała się widokiem polskiej rzeczywistości, co w tym kraju można by uznać za specyficzny akt ojcowskiej miłości. Teraz, w ramach „ratunku", rzucono ją w objęcia MOPS-u i szpitalnej sterylności. Dla kogoś, kto przez tyle lat oddychał kurzem z jednej meblościanki, wolność może być równie zabójcza jak cyjanek. Pytanie, czy warto było ją odnajdywać, jest jak najbardziej zasadne. Na wolności czekają ją tylko obce bakterie, obce twarze i przerażająca pewność, że świat, do którego ją siłą przywrócono, dawno przestał istnieć. Czasem najskuteczniejszą formą pomocy jest po prostu nie pukać do zamkniętych drzwi.

▮ Brytyjska policja, światowy wzorzec flegmy i profesjonalizmu, pokazała w Southampton, że potrafi być równie tępa i brutalna jak nasza. Zamiast ratować konającego Henryka Nowaka, zakuli go w kajdanki, bo morderca najwyraźniej miał lepszy dar przekonywania niż ofiara z dziurą w płucach. W Anglii każde żywe stworzenie, od łabędzia po konia z królewskiej gwardii, cieszy się osobistą opieką Karola III. Polak natomiast cieszy się jedynie statusem taniej siły roboczej. Cóż, wyspiarze mają wyjątkowo krótką pamięć. Kiedy Londyn płonął, a polscy piloci wycinali Luftwaffe z ich nieba, byliśmy „nielicznymi, którym tak wielu zawdzięcza tak wiele". Dziś jesteśmy tylko „tymi wieloma", których brytyjski gliniarz może bezkarnie dobić swoją ignorancją.

▮ Szymon C. z Chełma postanowił sprawdzić, ile osób zmieści się w aucie przed uderzeniem w latarnię. Wynik: 10, w tym dwie w bagażniku. Przy dwóch promilach i 130 km/h 18-latkowie z kufra zmienili status z pasażerów na nieboszczyków. Sąd w Lublinie wycenił te dwa trupy na siedem lat i osiem miesięcy więzienia. Wychodzi niecałe cztery lata za kolegę – w Polsce to cena promocyjna. Szymon wyjdzie przed trzydziestką, a jego „bagaż" z bagażnika zostanie na cmentarzu już na zawsze. Ot, taka chełmska lekcja logistyki i umiaru.

▮ W Beskidzie Wyspowym, na zboczach góry o wdzięcznej nazwie Lubogoszcz, odnaleziono szczątki śmigłowca Robinson R44. 30-letni pilot postanowił zakończyć żywot w sposób gwałtowny i widowiskowy, choć zupełnie apolityczny. To miła odmiana po naszych narodowych traumach lotniczych: żadnych prezydentów na pokładzie, żadnych generałów w kokpicie, żadnej sztucznej mgły i, co najważniejsze, żadnych schodów do nieba stawianych później na warszawskich placach. Śmierć 30-latka to oczywiście smutna sprawa, ale dla ogółu dowód na to, że w Polsce wciąż można się zabić bez udziału Putina i spisku mocarstw. Po prostu: góra stała tam, gdzie stała, a pilot najwyraźniej uznał, że prawo grawitacji to tylko niezobowiązująca sugestia.

▮ W Morągu dwóch młodzieńców postanowiło zabawić się w bogów ognia, używając bezdomnych jako podpałki. 72-letnia kobieta i jej syn spłonęli, bo dla oskarżonych byli tylko gorszym rodzajem biomasy, w którą miło rzuca się petardami. Prokuratura twierdzi, że to z pogardy. Matematyka jest bezlitosna i celna: problem bezdomności w tej okolicy rozwiązano kompleksowo. Dwie osoby w piachu, dwie na państwowym wikcie – dach nad głową i regularne posiłki przez 15 lat. W Polsce, żeby dostać od państwa stabilne warunki mieszkaniowe, trzeba najpierw kogoś spalić. To się nazywa polityka socjalna w wersji ekstremalnej.

RJ

PS Uprzejmie zawiadamia się Czytelnika, iż wiadomości przedstawione w niniejszej rubryce pochodzą z mediów lokalnych i regionalnych. W związku z powyższym redakcja nie przyjmuje na siebie odpowiedzialności za ich ewentualną nieścisłość, przesadę, omyłkę, fantazję twórczą ani inne odstępstwa od stanu faktycznego.

eprasa.pl b1eaaf6b5b

Darmowe, czyli drogie

Tłumaczymy, ile kosztuje prąd z OZE – i dlaczego

Mit o taniej energii z tzw. odnawialnych źródeł rozwiewają coraz wyższe rachunki odbiorców indywidualnych i kolejne likwidowane zakłady przemysłowe z tzw. branż energochłonnych. Firmy produkujące ceramikę czy huty szkła padają właśnie ze względu na koszty energii.

Rząd nie przejawia nawet cienia refleksji nad tą sytuacją. Gorzej, że poza nielicznymi wyjątkami brak jej również mediom głównego nurtu. Ochoczo powtarzają narrację, że receptą na drożyznę spowodowaną wysokimi kosztami amortyzacji OZE ma być więcej OZE. Tanio nie będzie, bo nie może być. Fizyka i rachunek ekonomiczny wyraźnie na to wskazują.

Do dokładnego opisu działania sieci stosuje się język schematów i równań matematycznych, które nie jest łatwo przełożyć na opis werbalny. Można za to pokazać pewne zależności, które wynikają z uwarunkowań technicznych i parametrów, jakie muszą być zachowane dla producentów i odbiorców. Nie jest to aż tak trudne, bo wszystko to wyjaśnia się za pomocą prawa Ohma i dwóch praw Kirchhoffa, które pokrótce mówią, że bilans prądów i napięć w sieci zamkniętej musi wyjść na zero. Dodatkowo należy opanować zjawiska pojemności i indukcji w sieci, które w przypadku niedopasowania zasilania do odbiorcy powodują natychmiastowe wyłączenia. Sieć musi być stabilna, a moc ciągle dopasowywana do odbioru. Przy OZE jest to największe wyzwanie dla energetyków.

Jak działa sieć energetyczna?

Określa to prawo energetyczne. Przede wszystkim wartości napięcia i częstotliwości. Nas, odbiorców, interesuje napięcie niskie, czyli 230 V o częstotliwości 50 Hz. Odchylenia od tych wartości dopuszczalne są tylko do pewnej wartości. Dla sieci niskiego napięcia może to być ±10 proc. Jeśli spadek lub wzrost jest wyższy, to nasze odbiorniki nie będą działać albo – jeśli nie mamy zabezpieczenia przez nagłym wzrostem napięcia – się spalą. Dopuszczalne odchylenia od nominalnej częstotliwości są jeszcze mniejsze, bo przy większych zaczynają samoczynnie zachodzić zjawiska, które całkowicie wymykają się spod kontroli operatora i normalny przesył energii jest niemożliwy.

To parametry, które interesują odbiorcę. Wytwórcy i operatorzy muszą brać pod uwagę wiele innych: stosunek mocy czynnej do mocy biernej, spadki napięć podczas przesyłu, pojemność i indukcyjność linii… Chodzi mniej więcej o to, żeby wytworzyć dokładnie tyle energii, ile w danym momencie potrzebują odbiorcy. Inaczej mówiąc: nie używać pięciokilowego młota do wbijania gwoździka w ścianę, bo rozbijemy ścianę – i nie używać młotka tapicerskiego do gwoździ pięciocalowych, bo jest za lekki i nie będzie odpowiedniej siły do wbicia.

Stabilizacja sieci jest dość łatwa, o ile źródła energii są w pełni sterowane. Takie są tylko elektrownie pracujące w oparciu o paliwo, które możemy dozować według zapotrzebowania: węgiel, gaz, atom czy biomasę, w tym pelet. Wiatr i słońce do takich paliw nie należą. Jeśli jasno świeci i mocno wieje, to energii jest dużo. Z pozoru super; mamy mnóstwo mocy do użytku. Niestety, za dużo mocy oznacza problem techniczny. Napięcie w sieci będzie za wysokie i trzeba część wyłączać, co powoduje z kolei problem ekonomiczny. Część wiatraków czy paneli jest niewykorzystana i nie zarabia na swoją amortyzację i spłatę inwestycji. To widzimy w rachunkach: tam, gdzie mamy opłaty przesyłowe, dystrybucyjne itd.

Łapanie słońca i wiatru jest technologicznie drogie, wymaga mnóstwa osprzętu i zabiegów technicznych. W efekcie OZE wykorzystują średnio 20 proc. zainstalowanej mocy. Żeby było to opłacalne – trzeba tę energię magazynować. Takich magazynów stabilizujących całą sieć nie mamy i szybko mieć nie będziemy.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Z tego wynika, że OZE musi być dotowane. I jest. Odbiorcy nie płacą dziś za energię; głównie dotują inwestycje, sprzęt i koszty stabilizacji systemu.

A może pelet czy biomasa będą tańsze? Niestety: pelet osiąga absurdalne ceny, a biomasy nie ma i nie będzie, bo skąd ją brać, jak rolnictwo się kurczy, a w przyszłości wykończy je umowa z Mercosur! Widzicie to? Za to płacicie w rachunkach za energię. Za zyski rynków. Nie za górników. Nie za ratowanie przyrody.

Transformacja będzie droga, ale ktoś zarobi

Wstępne szacunki kosztów transformacji to minimum 1,5 bln zł do roku 2040 – ponad 100 mld rocznie. Mają to pokryć opłaty za emisje CO_2, czyli ETS. Za to odbiorca płaci w cenie energii.

Zarabiają producenci sprzętu OZE – na globalnym rynku głównie Chiny. Jak grzyby po deszczu powstają firmy i firemki, które chętnie zainstalują fotowoltaikę czy wiatraki, tam gdzie trzeba i tam gdzie nie trzeba. Kto z nas nie odbierał irytujących telefonów z ofertami fotowoltaiki czy pomp ciepła? Natręctwa akwizytorów nie gasi informacja, że rozmówca mieszka w bloku. No to może na działkę…

Nic dziwnego: to potężny rynek i wiele w niego zainwestowano. Lobby wiatrakowe jeździ po gminach i kusi rolników obietnicą 15 tys. rocznie przez 29 lat za zgodę na postawienie masztu na polu. Co będzie po 29 latach – nie mówią. Pewnie ktoś to będzie musiał rozebrać.

Europejscy producenci urządzeń do generacji energii ze źródeł odnawialnych – Siemens Gamesa, General Electric czy Nordex – planowali ekspansję na rynki byłych demoludów od dwóch dekad. Dania, duży producent turbin wiatrowych, już od początku tego tysiąclecia ustawiała swoją produkcję dokładnie na rynki wschodnie. Co ciekawe, konieczność inwestycji w OZE całkiem realistycznie argumentowano wówczas w Europie tym, że kończą się zasoby paliw kopalnych, i ciągłym z wzrostem zapotrzebowania na energię. OZE postrzegano wówczas jako uzupełnienie systemu energetycznego.

Dziś odnawialne źródła energii są jednym z najszybciej rozwijających się filarów inwestycyjnych. Sam rynek lądowej energetyki wiatrowej w Polsce szacowany jest na 214 mld zł do 2040 r. Jest o co się bić.

Rynek ten jest tyle warty, ponieważ przyjęto paradygmat całkowitego przejścia na OZE jako podstawę europejskiego systemu energetycznego. To naturalne, że inwestorzy oczekują realizacji, zwrotu nakładów i oczywiście zysków. Ale to nie wszystkie koszty.

Koszty konieczne i trochę mniej konieczne

Szacowanie kosztów transformacji uwzględnia nie tylko nowe farmy fotowoltaiczne i wiatraki. Potrzebna będzie nowa sieć przesyłu z północy na południe, bo do tej pory jest odwrotnie. Linie najwyższych napięć biegną z południa, gdzie są zlokalizowane elektrownie, które do tej pory były podstawą systemu. Wstępne szacunki mówią o 40 mld zł.

Kolejny koszt: energetyka atomowa, która ma być podstawowym stabilnym i regulowanym źródłem. Budowa trzech bloków w technologii Westinghouse AP1000 wymaga nakładów w granicach 80–192 mld zł, wliczając koszty kredytowania.

A to tylko najważniejsze inwestycje, które są konieczne. Ukryte koszty wynikają z najdziwniejszego podatku, jaki Europa mogła wymyślić, czyli opłat emisyjnych (ETS). Jest to chyba jedyny podatek, którego wysokość ustala gra rynków finansowych, a nie ustawodawca.

ETS dziś może kosztować np. 50 euro, a jutro 80. Zazwyczaj kosztuje dokładnie tyle, żeby polski węgiel był droższy od OZE – bo normalnie byłby tańszy.

Presja ekonomiczna wywierana przez ETS powoduje, że węgiel z polskich kopalń sprzedawany jest energetyce poniżej kosztów produkcji i o wiele taniej niż cena referencyjna ARA, co dobija nawet najlepsze polskie kopalnie. Podobno niepotrzebne – choć już wiadomo, że energetyka potrzebuje więcej węgla, niż jesteśmy w stanie wydobyć. Można zamknąć kopalnie, bo przecież budżet tyle dopłaca, wtedy węgiel będzie z importu – droższy – a na kopalnie i tak trzeba będzie wydać znaczne sumy. Wyłącznie techniczny koszt zamknięcia jednej wynosi 1–2 mld zł. Będą jeszcze koszty społeczne i środowiskowe.

Patrząc na założenia Zielonego Ładu i bezsensowną, pośpieszną i bez planu likwidację polskiego górnictwa – które wpływ na klimat ma naprawdę w granicach błędu statystycznego – od razu widać, że będzie to dużo kosztować. A że przy okazji nie wspomina się, kto za to zapłaci, można założyć, że – żeby zacytować klasyka – „pan zapłaci, pani zapłaci… społeczeństwo".

Teraz pan i pani zapłacą w rachunkach. Koszty likwidacji wielu zakładów przemysłowych przyjdą później i też będą społeczne – i również niemałe.

JAROSŁAW NIEMIEC

Życie W DOBROBYCIE

Kiedy w marcu tego roku Rada Nadzorcza Poczty Polskiej wyrzuciła z fotela prezesa Sebastiana Mikosza, ministerstwo tłumaczyło, że chodzi o „zgodność polityki zarządczej z celami właścicielskimi" oraz „skuteczną realizację założeń strategicznych". Mikosz wyleciał dokładnie po dwóch latach pracy, ale po jego odejściu zaczęły się cuda. Instytucja powołana do doręczania listów, przesyłek i emerytur przyjęła „Regulamin komercjalizacji nieruchomości", czyli postanowiła zostać deweloperem. Poczta Polska ma wszak ponad 6 tys. nieruchomości rozsianych po całym kraju i około 2 mln mkw. powierzchni użytkowej. Wiele z nich stoi w ścisłych centrach miast, tam gdzie metr kwadratowy gruntu kosztuje tyle, ile przeciętny obywatel odkłada przez pół życia. Zarząd wymyślił więc, że zamiast bawić się w tradycyjną pocztę, trzeba przerzucić się na inwestycje mieszkaniowe, przygotowanie gruntów pod osiedla, komercjalizację przestrzeni, a nawet sprzedaż projektów inwestycyjnych. Na tym jednak nie koniec, bo wykoncypowano projekt „Galerii Poczty Polskiej". Wytypowano 32 historyczne obiekty m.in. w Poznaniu, Bydgoszczy i Toruniu. Mają się tam pojawić sklepy, usługi, przestrzenie społeczne, biura, a nawet mieszkania. Według szacunków sama komercjalizacja 60–70 proc. posiadanej powierzchni może dać Poczcie Polskiej od 600 mln zł do nawet 1,2 mld zł rocznych wpływów z najmu. I tu pojawia się pytanie fundamentalne. Jeśli instytucja powołana do obsługi korespondencji zaczyna myśleć o najmie powierzchni, adaptacji zabytków, pakietach dla najemców, projektach mieszkaniowych i centrach handlowych, to czy to jeszcze jest poczta?

Kiedy gruchnęła wiadomość, że Unia Group, producent maszyn rolniczych istniejący od 1882 r., szykuje zwolnienia grupowe obejmujące 350 osób, eksperci się nie zdziwili. I nic to, że pracę traci prawie 38 proc. załogi w zakładach zatrudniających dziś 925 ludzi w Grudziądzu, Słupsku i Brzegu. Przecież każdy znający się na ekonomii wie, że w kraju tak dopieszczanych producentów rolnych nie ma sensu wytwarzać pługów, opryskiwaczy i siewników, bo od dawna wiadomo, że na polskiej wsi najpotrzebniejszym urządzeniem jest komputer z dostępem do systemu składania wniosków o dopłaty. Od połowy marca trwa nabór wniosków o dopłaty bezpośrednie, a już pod koniec kwietnia wpłynęło 291 tys. wniosków. Potem rolnicy, przyzwyczajeni, że państwo zawsze zdąży im pomóc, nawet wtedy, gdy oni sami nie zdążą z papierami, zaczęli domagać się wydłużenia terminu. I ministerstwo termin wydłużyło o dwa tygodnie. A gdyby ktoś i tak nie zdążył, mógł złożyć dokumenty przez kolejne dziewięć dni, tracąc ledwie 1 proc. dopłaty za każdy dzień roboczy opóźnienia. Więc w tym samym czasie, gdy producent maszyn rolniczych zwalnia setki ludzi, bo nie ma popytu na glebogryzarki, przedsiębiorcy rolni walczą o to, żeby nie zabrakło kolejnych programów pomocowych. Pod koniec kwietnia Krajowa Rada Izb Rolniczych pisała wszak rządowi, że „sytuacja ekonomiczna polskich rolników jest obecnie wyjątkowo trudna". Trudna w kraju, w którym do wiejskich biznesmenów wędrują dopłaty bezpośrednie, obszarowe, dobrostanowe, do ekologii, do ubezpieczeń, do paliwa, inwestycyjne i modernizacyjne. To co ma powiedzieć miastowy, który płaci ratę kredytu, ZUS, VAT, PIT i jeszcze za parking pod blokiem? Nie wspominając o zwolnionych pracownikach Unia Group, którzy zamiast gadać, szukają roboty.

„Kończy się era naiwnej globalizacji. Czas na odbudowę narodowej gospodarki. Czas na repolonizację polskiej gospodarki, rynku, kapitału" – opowiadał Donald Tusk. Tymczasem okazuje się, że w tej odbudowywanej gospodarce nie bardzo jest komu kupować nawet najtańsze regały, szafki i sosnowe łóżka. Bo oto IKEA zwolniła w Polsce 240 osób. W Wielbarku pracę stracili zarówno robotnicy produkcyjni, jak i ludzie z administracji. Oficjalnie przyczyną jest „spadek zamówień na produkty", „rosnące koszty" oraz „pogorszenie sytuacji finansowej przedsiębiorstwa". A przecież według oficjalnych opowieści Polska ma dziś być gospodarczą potęgą – jesteśmy 20. gospodarką świata. Na papierze więc Polacy powinni kupować komody tonami, wymieniać sofy co dwa lata i urządzać dzieciom pokoje w stylu skandynawskim częściej, niż wymieniają zimowe opony. Fabryka w Wielbarku nie jest manufakturą robiącą luksusowe meble dla oligarchów. To nie są stoły z hebanu za 80 tys. euro – zakład produkuje meble z litego drewna sosnowego. Według NBP udział popytu krajowego w PKB ma być od 2026 r. większy niż udział eksportu. Polska ma być więc gospodarką napędzaną zakupami obywateli. Zderzają się więc dwie Polski – jedna istnieje w prezentacjach, ratingach i przemówieniach. Tam jesteśmy „liderem wzrostu", „20. gospodarką świata" i „zieloną wyspą odporności". Druga mieszka w Wielbarku, Szczytnie, Janikowie albo Garwolinie i dowiaduje się, że pracy już nie będzie, bo ludzie przestali kupować meble, kosmetyki albo sodę.

Narzekanie na głodowe pensje w ochronie zdrowia od lat należy w Polsce do najtrwalszych elementów pejzażu medialnego. Nie ma tygodnia bez opowieści o przemęczonych pielęgniarkach, dramatycznych brakach kadrowych, przepracowaniu, dyżurach po nocach i pensjach niepozwalających godnie żyć. Wszystko to jest oczywiście prawdą, tyle że nader wybiórczą. Najlepiej widać to po ogłoszeniu rekrutacyjnym Państwowego Instytutu Medycznego MSWiA w Warszawie. To tam leczą się politycy, ministrowie i inni ludzie władzy. Instytut poszukuje pielęgniarek, oferując 10 tys. 555 zł brutto miesięcznie. Na rękę daje to około 6–7,5 tys. zł miesięcznie. Jeśli zaś któraś nie chce etatu, może wybrać umowę zlecenie i inkasować od 80 do 105 zł brutto za godzinę. A przeciętnie w miesiącu jest ok. 168 roboczogodzin, i to bez dyżurów. Dlatego państwowa klinika dorzuca jeszcze dodatki zmianowe, dopłaty świąteczne, paczki świąteczne, dofinansowanie sportu, tzw. gruszę, dodatkowe urlopy, preferencyjne pożyczki i dopłaty do kina czy teatru. A przecież od 1 lipca minimalne wynagrodzenia w ochronie zdrowia rosną o 8,82 proc., dzięki czemu pielęgniarka mająca tytuł magistra i specjalizację ma mieć ustawowo zagwarantowane minimum na poziomie 11 tys. 485 zł i 59 gr brutto bez nadgodzin, dyżurów nocnych, świątecznych i wszelkich dodatków. Ale przedstawiciele środowiska medycznego nieustannie opowiadają w telewizjach śniadaniowych o „biedzie" i „głodowych pensjach". Owszem, praca jest ciężka, odpowiedzialna i stresująca. Tyle że stres nie jest specjalnością wyłącznie służby zdrowia. Kierowca autobusu też odpowiada za życie ludzi, monter pracujący przy wysokim napięciu – również. A mimo to ogromna część osób wykonujących ciężkie i odpowiedzialne zawody może wyłącznie pomarzyć o pensji przekraczającej 10 tys. zł brutto. Niech pielęgniarki zarabiają jak najwięcej pod tym wszakże warunkiem, że przestaną wreszcie biadolić nad swoimi głodowymi uposażeniami.

W Japonii od lat ekonomiści i specjaliści od polityki społecznej opisują zjawisko polegające na tym, że coraz więcej starszych ludzi popełnia tam drobne przestępstwa, bo w więzieniu dostaną dach nad głową, ogrzewanie, opiekę medyczną i regularne posiłki. Czy podobny model mógłby kiedyś pojawić się w Polsce? Raczej nie, ale kto wie, bo Ministerstwo Sprawiedliwości postanowiło pochylić się nad problemem żywienia osadzonych. Ministerstwo przyznało, iż obecna „stawka żywieniowa przyjęta w rozporządzeniu jest w praktyce niewystarczająca do zapewnienia prawidłowego żywienia". Trudno się z tym nie zgodzić, bo wynosi ona od 4 zł do 7,20 zł, a chodzi o całodzienne wyżywienie człowieka. Resort sprawiedliwości uznał więc, że stawka ma wzrosnąć z 4 do 5 zł dziennie. Ale żeby nie było, że za kratami człowiek wciąż będzie głodował, projekt przewiduje również zmiany jakościowe. W jadłospisach ma pojawić się więcej produktów białkowych. Ma być mniej węglowodanów. Większy nacisk położony zostanie na warzywa i owoce. Projekt zakłada, że ich ilość nie będzie mogła być niższa niż 400 gramów dziennie. Wartość energetyczna całodziennego wyżywienia ma wynosić co najmniej 2600 kilokalorii. I to wszystko za 5 zł dziennie, naprawdę. Wyobrażacie sobie polskiego emeryta, który postanawia dokonać drobnej kradzieży wyłącznie po to, by trafić do miejsca, gdzie państwo przeznacza na jego całodzienne wyżywienie 5 zł. Owszem, emerytury bywają niskie, ale nawet dotknięty największą demencją staruszek wie, że za 5 zł dziennie trudno nawet kota. I choćby tylko dlatego kryminalistą nie zostanie.

TTJ



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl b1eaaf6b5b

Dziecko sanacji i Chruszczowa

Są bojownicy, którym najlepiej udała się śmierć

Gdyby nie pycha genseka Chruszczowa i skok techniki w KGB, to Herr Karol Popiel zmarłby w ciepłych, emigracyjnych kapciach. Jako nieznany redaktor niszowego „Szlaku Zwycięstwa", wydawanego w egzotycznym języku. Człek dobroduszny i spokojny. Tak postrzegany przez swych żydowskich sąsiadów w Monachium.

Piekło emigracji

Najbardziej doskwierał mu reumatyzm. Także bóle głowy, żołądka, a przede wszystkim nosa. Przez nos karmiono go podczas głodówki w polskim więzieniu. Dlatego cierpiał na uciążliwy katar. Fizycznie i psychicznie, bo zasmarkany nos nie przystawał przywódcy wielkiego narodu. Oprócz kataru, zdrowiu Herr Popiela zagrażali jeszcze melnykowcy z konkurencyjnej frakcji OUN. I polujące na niego radzieckie specsłużby.

Na emigracji Herr Popiel, jak każdy ówczesny żołnierz wyklęty, czekał na III wojnę światową. Wiara w nią, i domowe konfitury, osładzały mu gorycz emigranckiego chleba. Nie czekał bezczynnie. Wraz ze swoimi wyklętymi ściągał od ukraińskich emigrantów podatki na wolną od „podstępnych sowietów" Ukrainę. Fałszował pieniądze, paszporty i inne potrzebne „żołnierzom" dokumenty. Bywało, że kazał porywać i zastraszać konkurentów politycznych oraz skąpiących sprawie niepodległości. Od przelewania krwi ukraińskiej stronił.

Ponieważ ukraińska emigracja nie należała wtedy do najbogatszej, trzeba było uchylać kapelusza zachodnim sojusznikom. Herr Popiel, prezentując się jako lider „bohaterskiego ruchu oporu przeciwko nazistom i komunistom", przekonywał agentury zachodnich wywiadów, że on i jego żołnierze walczą nie tylko o swoje „niepodległe państwo, ale o całą Europę". I kusił je „niezwykle cennymi kontaktami". Siatkami wywiadowczymi utkanymi w radzieckiej Ukrainie.

Dawał się na to złapać wywiad brytyjski. Ale Amerykanie od początku traktowali Herr Popiela podejrzliwie, czyli skąpo. Niemiecki wywiad płacił regularnie i chronił przed niemiecką policją. Tak najłatwiej było mu ukraińską emigrację kontrolować. Zresztą jej liderzy sami donosili na swych konkurentów, czym dewaluowali wartość proponowanych usług. Czasem udawało się naciągnąć włoski wywiad. Zainteresowany losem zaginionych na froncie wschodnim włoskich sojuszników Hitlera.

Po roku 1956 nastąpiła odwilż między Zachodem i ZSRR. Herr Popiel i inni żołnierze wyklęci przestali być potrzebni do dywersyjnych akcji. Zwłaszcza że jego wpływy na Ukrainie były już minimalne. Na klęski zawodowe Herr Popiela nałożyły się tragedie rodzinne. W 1941 r. jego ojciec został rozstrzelany przez NKWD i bezimiennie pochowany w Bykowni pod Kijowem. Razem z innymi ofiarami stalinizmu, wśród nich polskimi oficerami z listy katyńskiej. Dwaj jego bracia, działacze OUN, zostali uwięzieni przez gestapo w KL Auschwitz w 1942 r. Tam – jak piszą ukraińscy historycy – zginęli z rąk współwięźniów Polaków. Z zemsty za antypolską popielową działalność. Trzeciego brata zabili żołnierze radzieccy. Trzy siostry wywieziono na Syberię w 1946 r. Losu ich nigdy nie poznał.

W pamiętnym 1959 r. Herr Karol Popiel był schorowanym, osamotnionym politycznie żołnierzem przegranej wówczas sprawy. Zapominanym na Ukrainie. I pewnie umarłby bez echa na bawarskim bruku, gdyby nie cyjanek potasu.

Cyjanek nieśmiertelności

Cyjanek wystrzelił ze szklanego pistoletu, cudownej broni KGB najnowszej generacji, agent Bogdan Staszyński. Ten „ukraiński patriota" i żołnierz wyklęty zaraz po wpadce stał się wzorowym radzieckim kapusiem i prowokatorem. Egzekutorem wyroków Firmy.

On też wykonał w 1959 r. wyrok na powracającym z bazaru Herr Popielu. Skutecznie, bo ukrywający się w Monachium lider UPA zmarł. A niemiecka policja nie potrafiła znaleźć powodów i sprawcy zamachu. I pewnie ów Popiel pozostałby bezimienny, gdyby nie miłość. Ukraińskiego agenta KGB do Niemki z NRD. Przez nią ludzka tragedia zamieniła się w komedię romantyczną. I urodziła mit bohatera niezłomnego.

Kiedy moskiewscy pracodawcy Staszyńskiego uznali jego niemiecką małżonkę za element wrogi „światowemu socjalizmowi", to świetnie zapowiadający się killer musiał wybierać. Ukochana żona czy Firma. Wygrała miłość do żony. Aby swe uczucie mogli dalej pielęgnować, państwo Staszyńscy schronili się w CIA. Tam swej nowej Firmie opowiedzieli wszystko, co wiedzieli o starej.

Dzięki temu – i światowym mediom – cały świat rychło dowiedział się, jak zmarł Herr Karol Popiel. Bo śmierć od cyjanku wystrzelonego ze szklanego pistoletu zdarza się rzadziej niż narodziny dwugłowego cielęcia.

Narodziny legendy

Przy okazji świat dowiedział się też, że ten Herr Popiel tak naprawdę był Stefanem Banderą. W dniu swej śmierci przewodniczącym Prezydium Zagranicznych Części Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Zasłużonym członkiem Ukraińskiej Organizacji Wojskowej. Przewodniczącym Biura Prezydialnego całej OUN. Skazanym w 1936 r. w Polsce na dożywocie za zorganizowanie zamachu na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego oraz kierowanie OUN i działalność separatystyczną. Zwolnionym z polskiego więzienia w 1939 r. Współautorem ogłoszonego, wbrew władzom niemieckim, 30 czerwca 1941 r. we Lwowie „Aktu Odnowienia Państwa Ukraińskiego". Potem więźniem niemieckich aresztów i obozów koncentracyjnych do roku 1944.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ponieważ o zmarłym mówi się dobrze, a zwłaszcza o ofierze zamachu KGB, to nie wspominano o jego klęskach. O tym, że od 1945 r. jego polityczne znaczenie zmalało. Bo ukraińska emigracja była rozbita i skłócona. Bo CIA uznawało Banderę za niewiarygodnego, a KGB kontrolowało jego działalność. Poza tym niedemokratyczny, mało elastyczny, przywiązany do wizji III wojny światowej emigracyjny lider nie pasował do nowych, „demokratyzujących się" czasów. I w czasach narastającego „odprężenia" szans na karierę już nie miał.

Dlatego eksponowano jego minione zasługi: więźnia II Rzeczpospolitej, bezkompromisowego nacjonalisty ukraińskiego, skazanego za działania niepodległościowe. Przypomniano „Odnowienia Państwa Ukraińskiego" w 1941 r. Deklarację o znaczeniu lokalnym, nieznaną powszechnie nawet na Ukrainie. Przypomniano pobyt w niemieckich aresztach i obozach, który nadał mu szanowany status nazistowskiego więźnia. Jednak dopiero zamach radzieckiej KGB, dokonany, by podlizać się gensekowi Nikicie Chruszczowowi, uczynił ze Stefana Bandery mitycznego herosa ukraińskiej niepodległości. Wywindował też znaczenie UPA. I tak z politycznego bankruta stał się Stefan Bandera sztandarem niepodległości.

Morał: dobry żołnierz wyklęty – czyli ten zmitologizowany, propagandowo żywy i w polityce użyteczny – to wcześniej martwy żołnierz.

PIOTR GADZINOWSKI

Honor nazioli

Murem za brunatnym mundurem

Kiedy wojak Karol Sz. – który w marcu 2024 r. ostrzelał grupę migrantów i mało co nie wysłał do nieba pograniczników na polsko-białoruskiej granicy – przyszedł na wyrok w tej sprawie w koszulce nazistowskiej kapeli Honor, miał podstawy sądzić, że będzie skazany. T-shirt i świadoma ekspozycja słowiańskiego kołowrota na przedramieniu miały uczynić z niego męczennika systemu.

Wyszło jednak inaczej, bo wojskowy sędzia Radosław Hunek mile go zaskoczył, kwestionując pogląd prokuratury, że chłop nie umie posługiwać się bronią – bo „jak słusznie zauważył oskarżony, gdyby chciał, żeby ktoś zginął, to by zginął".

Uniewinniony od zarzutów przekroczenia uprawnień i narażenia innych ludzi na śmierć lub utratę zdrowia, Karol Sz. ogłosił, że odszedł już z wojska, ale może teraz do niego wróci. A jeżeli nie wróci, to porzuci ojczyznę i zaciągnie się do Legii Cudzoziemskiej. Tam oczywiście potencjalnie ustrzelonych z karabinu ciapatych nikt mu nie wypomni. Najemnik to najemnik, nawet jeśli ma placet Republiki Francuskiej.

Różni komentatorzy słusznie zauważyli, że Karol Sz. to niejedyny przypadek naziola w polskim mundurze. Nikt nie powołał się przy tym na żaden konkretny przykład. Zrobimy to więc za nich.

Dawid P. od najmłodszych lat kochał się w *white power*. Kocha też futbol. Na drogę przestępczą wkroczył jako student akademii wychowania fizycznego, kiedy pod jedną z podlaskich komend policji, najebany jak Messerschmitt, groził funkcjonariuszom, że jak wróci Hitlerjugend, to zrobi z nimi porządek.

W 2013 r. został więc skazany prawomocnie za propagowanie faszyzmu. Dostał zawiasy i nakaz powstrzymywania się od spożywania alkoholu. Chuj to jednak dało. Przez następne lata organizował lokalne marsze ku czci żołnierzy wyklętych, po których również dostawał wyroki w postaci prac społecznych za przyśpiewki publiczne w rodzaju: „A na drzewach zamiast liści wisieć będą komuniści".

Potem słuch o nim zaginął. Chłop odnalazł się nagle i przypadkowo w jednym z batalionów 1. Podlaskiej Brygady Wojsk Obrony Terytorialnej im. gen. bryg. Władysława Liniarskiego, ps. Mścisław. W grupie maszerujących żołnierzyków wypatrzył go oficer – były policjant komendy, pod którą Dawid P. darł swego czasu ryja. Oficer natychmiast powiadomił dowództwo, a to zaraz pozbyło się wizerunkowego kłopotu.

Jak to się stało, że naziol trafił do wojska? To proste. Ukrył, że był w przeszłości karany, gdyż w procesie rekrutacji nie wymaga się od kandydata zaświadczenia o niekaralności; wystarczy oświadczenie, że się nie garowało.

Dalej też było ciekawie. Wzorem Roberta Bąkiewicza zorganizował lokalny patrol obywatelski strzegący polsko-białoruskiej granicy. W kilka dni na popularnej w internecie zrzutce dedykowanej temu projektowi zebrano ponad 50 tys. zł.

JMP

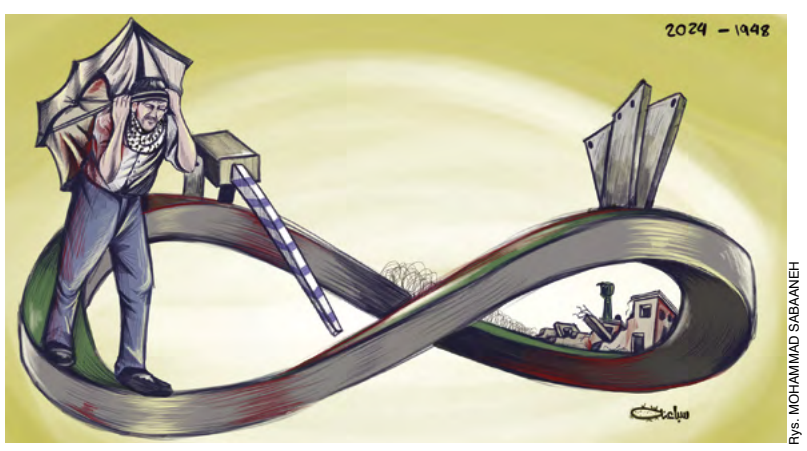
Nie oddamy ani guzika – wersja bliskowschodnia

Wiara nie wystarczy

5 czerwca 1967 r. rozpoczęła się wojna, która na zawsze zmieniła oblicze Bliskiego Wschodu. Dla Arabów była to jedna z najbardziej bolesnych porażek XX w., znana jako „An-Naksa" – cofnięcie się, upadek po nadziejach i oczekiwaniach. W ciągu zaledwie sześciu dni Izrael zajął Strefę Gazy, Synaj, Zachodni Brzeg Jordanu wraz z Jerozolimą Wschodnią oraz Wzgórza Golan. Miliony Palestyńczyków znalazły się pod okupacją, która trwa do dziś.

Klęska z czerwca 1967 r. nie była jednak wyłącznie skutkiem wydarzeń na polu walki. Była konsekwencją błędów politycznych, strategicznych i wojskowych, które narastały przez lata. W arabskich stolicach dominowały wielkie hasła i emocjonalna retoryka, podczas gdy rzeczywiste przygotowania do wojny pozostawały niewystarczające. Społeczeństwa słyszały zapowiedzi zwycięstwa i wyzwolenia Palestyny, lecz armie nie były gotowe na konfrontację z przeciwnikiem, który od miesięcy planował każdy szczegół nadchodzącego konfliktu.

Decydującym momentem był izraelski atak lotniczy z pierwszego dnia wojny. W ciągu kilku godzin większość egipskiego lotnictwa została zniszczona na ziemi. Utrata panowania w powietrzu oznaczała katastrofę dla wojsk lądowych. Bez osłony lotniczej czołgi, artyleria i linie zaopatrzenia stały się łatwym celem. Przewaga techniczna, organizacyjna i wywiadowcza Izraela okazała się miażdżąca.



Rys. MOHAMMAD SABAANEH

Jednak skutki tej wojny były znacznie głębsze niż utrata terytoriów.

Nastąpiło załamanie psychologiczne w całym świecie arabskim. Runął obraz niezwyciężonych armii i wiara, że sama liczba żołnierzy oraz patriotyczne hasła mogą zapewnić zwycięstwo.

Arabskie społeczeństwa zostały zmuszone do bolesnego spojrzenia w lustro i zadania sobie pytań o przywództwo, kompetencje, odpowiedzialność i rzeczywistą siłę państw regionu.

Dla narodu palestyńskiego rok 1967 oznaczał początek nowego etapu historii. Cała historyczna Palestyna znalazła się pod izraelską kontrolą. Tysiące rodzin zmuszono do opuszczenia swoich domów. Rozszerzyła się okupacja, a kwestia palestyńska weszła w nową fazę, która trwa do dziś.

Paradoksalnie jednak z tej klęski narodziły się także nowe formy oporu i politycznej aktywności Palestyńczyków. Coraz większą rolę zaczęły odgrywać organizacje narodowe, które uznały, że los Palestyny nie może zależeć wyłącznie od decyzji państw arabskich. W kolejnych latach to właśnie Palestyńczycy stali się głównym bohaterem własnej walki narodowej.

Historia pokazuje, że narody nie przegrywają dlatego, że poniosły jedną klęskę militarną. Przegrywają wtedy, gdy nie potrafią wyciągnąć z niej wniosków. Najważniejszą lekcją 5 czerwca 1967 r. jest znaczenie realizmu, przygotowania, jedności i odpowiedzialnego przywództwa. Hasła nie zastąpią strategii, a emocje – planowania.

Dziś, niemal sześć dekad później, rocznica 5 czerwca pozostaje bolesnym wspomnieniem dla milionów Arabów i Palestyńczyków. Jest raną, która nie zagoiła się do końca. Powinna jednak być także przestrogą i lekcją – przypomnieniem, że przyszłości nie buduje się na iluzjach, lecz na uczciwej analizie błędów, odwadze ich naprawiania oraz wierze, że nawet najdotkliwsza porażka nie musi oznaczać końca historii.

OMAR FARIS

eprasa.pl b1eaaf6b5b

Trampolina do zakrystii

Co to za młodzieżówka, która nie wydała z siebie nikogo znanego?

Kiedy trafia się na internetową stronę Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, przez chwilę można mieć wrażenie, że znalazło się cyfrową platformę młodych ludzi, którzy chcą zmieniać świat, budować wspólnotę, angażować się społecznie, rozwijać duchowość i wprowadzać chrześcijaństwo w realia XXI w. Duże hasło: „Kształtujemy dojrzałych chrześcijan", a dalej deklaracja, że celem jest doprowadzenie człowieka do „życia wiecznego". Jeszcze dalej zapewnienie, że KSM chce budować „cywilizację miłości". Wszystko brzmi jak skrzyżowanie rekolekcji z kampanią społeczną, tylko że po kilku kliknięciach człowiek zaczyna rozumieć, iż największym osiągnięciem tej organizacji nie jest wcale praca z młodzieżą, lecz doprowadzenie do perfekcji modelu kościelnej autopromocji. A gdy już wejdzie się głębiej, zaczyna być naprawdę zabawnie. Bo niezależnie od tego, czy czyta się o duchowości, strukturach, patronach, przyrzeczeniu, zarządach, formacji czy działalności, nad wszystkim niczym współczesny głos z nieba wisi zakładka, której nie sposób przeoczyć. „Wesprzyj nas".

W tych słowach zawiera się cała prawda o współczesnym religijnym marketingu. Można przez pięć minut czytać o świętości, kolejne dziesięć o służbie, następne piętnaście o cnocie, ale najważniejszy jest apel o kasę.

Tożsamość przypinki

KSM bardzo lubi podkreślać, że jest ruchem wielkim. Rok 1919 – początki organizacji. Rok 1935 – jak sami piszą – struktury katolickiej młodzieży liczą „ponad 310 tysięcy członków". Rok 1953 – definitywna likwidacja przez państwo komunistyczne. Rok 1990 – reaktywacja. Dziś KSM chwali się obecnością w 31 diecezjach, działalnością w 558 oddziałach, zrzeszaniem „blisko 9 tysięcy członków", posiadaniem „4,5 tysiąca kandydatów" i „ponad tysiąca seniorów". Razem daje to środowisko sięgające niemal 14,5 tys. osób.

KSM próbuje wyglądać na organizację nowoczesną, a jednocześnie ich sposób opowiadania o sobie ma coś z podręcznika dla młodego aktywisty z końcówki lat 90. Młody człowiek – czytamy – nie powinien „tylko i wyłącznie przejść przez życie, wegetując". Powinien dążyć do „najlepszej wersji samego siebie". Powinien „pracować nad sobą". Powinien „kształtować umysł, wolę i serce". Powinien „służyć Bogu i Ojczyźnie". Powinien „budować cywilizację miłości". Gdyby wyjąć religijną ornamentykę, można by pomyśleć, że trafiło się na stronę firmy sprzedającej coaching biznesowy dla początkujących menedżerów.

Ale prawdziwy teatr zaczyna się przy zakładce „Elementy tożsamości". Bo normalna organizacja ma logo, a KSM ma odznakę. Odznakę, którą „można nosić dopiero po przyrzeczeniu", bo jest to „zewnętrzny znak przynależności" oraz „symbol służby Bogu i Ojczyźnie". Odznakami nie zarządza byle kto, dysponuje nimi wyłącznie Prezydium Krajowej Rady. Dzięki czemu wiemy, że istnieje ogólnopolska organizacja, której centralne władze zarządzają przepływem kościelnych przypinek.



Rys. OBYWATEL JANEK

Wesoły obrońca Kózkówny

Żeby tam – KSM ma też sztandar. I to nie taki od święta, lecz „symbol organizacji, jedności i zasad". Ma być obecny podczas procesji, uroczystości Chrystusa Króla, zjazdów, przyrzeczeń i innych wydarzeń. A na sztandarze patron, godło i hasło.

Jest też pozdrowienie stanowiące połączenie ministranta, harcerza, członka młodzieżówki i kandydata do szkoły oficerskiej. Pytanie:

„Przez cnotę, naukę i pracę służyć Bogu i Ojczyźnie – gotów?". I odpowiedź: „Gotów!". Jeszcze bardziej wzrusza wyjaśnienie, że słowo „Gotów!" oznacza gotowość do „wstrzemięźliwości", „rozwoju duchowego", „nauki", „pracy" i „służby".

Ale to nic w porównaniu z duchowością. KSM wszak wyjaśnia, że jego duchowość opiera się na trzech filarach: „katolickości", „formacji" oraz „integralności". Dalej pojawia się łacińska formuła *sentire cum Ecclesia*, czyli – jak sami tłumaczą – myślenie, czucie i działanie z Kościołem. W jednym zdaniu organizacja wyjaśnia, czym naprawdę jest: strukturą, której podstawowym zadaniem jest wyprodukowanie człowieka, który będzie myślał z Kościołem, czuł z Kościołem i działał z Kościołem.

Dalej pojawia się dekalog KSM-owca – 10 zasad, które brzmią jak skrzyżowanie kazania proboszcza z instrukcją dla obywatela idealnego. Członek ma „kochać Boga", „służyć czynnie Kościołowi i Ojczyźnie", „kształcić umysł, wolę i serce", „być prawym i czystym", „pracować chętnie", „szerzyć chrześcijańską kulturę życia", „spełniać obowiązki sumiennie", „dbać o zdrowie", „być gospodarnym i oszczędnym" oraz „pogodnym". A na końcu pojawia się cytat, który winien być wykuty na marmurowej tablicy w kurii: „Smutny KSM-owicz to kiepski KSM-owicz!".

Gdy mowa o strukturach, KSM porzuca wszelkie pozory spontaniczności. Najwyższą władzą jest Krajowa Rada. Dalej mamy Prezydium Krajowej Rady, dalej – Komisję Rewizyjną. Kadencje trwają dwa lata. Są przewodniczący, dwaj zastępcy, sekretarz, skarbnik i ksiądz asystent. Na poziomie diecezjalnym mamy prezesa, zastępcę, sekretarza, zastępcę sekretarza, skarbnika, dwóch członków i księdza asystenta. Na poziomie oddziału parafialnego mamy pięcioosobowe kierownictwo i trzyosobową komisję rewizyjną. Młody człowiek przychodzi, żeby spotkać ludzi, rozwijać wiarę i budować wspólnotę, a po chwili orientuje się, że wylądował w czymś, co ma więcej szczebli administracyjnych niż niejeden urząd.

Ale to tutaj wychodzi rzecz najistotniejsza. Bo kto powołuje diecezjalny KSM? Biskup. Kto nadaje osobowość prawną? Biskup. Kto mianuje księdza asystenta? Biskup. Kto zatwierdza generalnego asystenta? Konferencja Episkopatu Polski. Kto zatwierdza statut? Kościół. Kto określa zasady? Kościół. Kto decyduje o duchowości? Kościół. Kto nadaje kierunek? Kościół. Czyli mamy organizację młodzieżową, która służy reprodukcji kościelnej lojalności.

W tym wszystkim pojawia się jeszcze Karolina Kózkówna – patronka, symbol, wzór i punkt odniesienia. I kiedy z nazwy sanatorium MSWiA znika jej imię, KSM publikuje oficjalny sprzeciw. Taki ze słowami: „głęboki smutek", „głębokie rozczarowanie" czy „silny wymiar ideowy oraz symboliczny". Dalej organizacja przypomina, że Karolina jest „wzorem życia opartego na czystości, odwadze, miłości do Boga, drugiego człowieka i Ojczyzny". Pada dramatyczne: „Nie milczymy". W kraju, gdzie młodzi nie mają mieszkań, gdzie psychiatria dziecięca się dusi, gdzie edukacja tonie w chaosie, jedna z największych katolickich organizacji młodzieżowych uznaje, że sprawą wartą ogólnopolskiego stanowiska jest patronka sanatorium.

Sakrokonferencja festiwalowa

Centrala KSM w Warszawie sprzedaje markę, ale prawdziwa twórczość liturgiczno-organizacyjna dzieje się w terenie. Weźmy choćby KSM Archidiecezji Krakowskiej. Tam młodzież nie spotyka się po prostu na wyjazdach. Nie – tam jedzie na „Wakacje z Wartościami". Program wygląda mniej więcej tak, jakby ktoś skrzyżował kolonie z rekolekcjami, a zajęcia integracyjne z elementami drylu organizacyjnego. Bo przecież nie można po prostu pojechać w góry, pogadać, pobawić się i wrócić. Trzeba „wzrastać", „budować relacje", „kształtować charakter", „odkrywać powołanie".

Młody człowiek jedzie na pięć dni, a wraca z poczuciem, że właśnie przeszedł kościelny program rozwoju osobistego.

Jeszcze piękniej robi się w Lublinie, gdzie diecezjalne KSM z dumą podaje, że posiada 43 oddziały i ponad 500 członków, co oznacza, że średnio na jeden oddział przypada mniej więcej 11–12 osób opakowanych słowami „formacja", „ewangelizacja" i „odpowiedzialność za Kościół i Ojczyznę". Wszystko kończy się na spotkaniach, rekolekcjach, zjazdach, szkoleniach liderów, integracji, modlitwie i konferencjach.

W diecezji kieleckiej młodzież może wziąć udział w czymś, co nazwano BierzmoREKO. A chodzi o rekolekcje dla bierzmowanych. Jeszcze bardziej kreatywnie robi się w Zielonej Górze i Gorzowie, gdzie KSM zaprasza młodzież na „Pogadaj z czarnym". To już jest poziom marketingowego geniuszu, który powinien zostać zapisany w historii polskiego duszpasterstwa.

W Toruniu z kolei działa coś, co dumnie nosi nazwę Gotów. Nie pozdrowienie, nie zawołanie, nie symbol, ale tytuł wydawnictwa. W Siedlcach natomiast pojawia się Hosanna Festival – chrześcijański show-biznes: scena, mikrofony, światła, muzyka.

W Drohiczynie młodzież jeździ na obozy, zimowiska, rekolekcje i zjazdy, a wszystko odbywa się w rytmie tak przewidywalnym, że można by ustawić według tego kalendarz liturgiczno-turystyczny. Zima – rekolekcje. Wiosna – dni skupienia. Lato – obóz. Jesień – zjazd liderów. A po drodze obowiązkowo przyrzeczenie, odznaka, zdjęcie ze sztandarem i oczywiście kilka postów w mediach społecznościowych, bo współczesna ewangelizacja bez Instagrama już nie istnieje.

W diecezji łomżyńskiej młodzież prowadzi audycję „Zdrowe Życie". I nie chodzi o indeks glikemiczny, suplementy diety czy wpływ błonnika na duchowość, lecz o miks religii, psychologii, świadectw i katolickiego stylu życia.

Na społecznościówkach KSM z Podkarpacia królują bale, spotkania opłatkowe, zloty, wspólne wyjazdy, „wieczory uwielbienia", konkursy, śpiew, flagi, koszulki, identyfikatory i grupowe zdjęcia z uniesionymi rękami. Na nich młodzi uczą się jednego – jak dobrze wyglądać na zdjęciu z księdzem.

Ale niezależnie od tego, czy jesteśmy w Krakowie, Kielcach, Toruniu, Siedlcach, Łomży, Drohiczynie czy Zielonej Górze, podstawowym przesłaniem pozostaje to, które najwierniej opisuje współczesny katolicki model działania. Najpierw przyjdź, potem się zaangażuj i rekrutuj innych. A nade wszystko kliknij w „Wesprzyj nas".

TOMASZ BOROWIECKI

Brużdżenie w parafii

Z katedry do fary

Przenosiny na inną parafię mają w Polsce ugruntowaną markę, ale rzadko poszczególne nominacje proboszczowskie budzą większe emocje. Jedna wzbudziła.

Warszawską Parafię św. Jakuba przy Placu Narutowicza obejmie – spocić się można już przy nazwisku i tytulaturze – ks. prałat prof. dr hab. Franciszek Longchamps de Bérier. Wiernym sprawić może kłopot nie tylko wymowa nazwiska nowego plebana, ale i medialna wpadka, która stała się jego wizytówką na lata.

Ks. Longchamps de Bérier to niewątpliwie specjalista od prawa – pochodzi ze znanej prawniczej rodziny, naukowe papiery ma dobre, kierował Katedrą Prawa Rzymskiego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykłada na Uniwersytecie Warszawskim, był członkiem Komitetu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk, a od 2023 r. jest szefem branżowego pisma „Forum Prawnicze". Funkcje to zgoła niekonfesyjne i niekojarzące się z dewocją. W przeciwieństwie jednak do niektórych kolegów po fachu ks. Franciszek nie udaje cywila i bezstronnego naukowca – zawsze pokazuje się jeśli nie w sutannie, to przynajmniej w koloratce.

Nie z prawniczych jednak dokonań dał się poznać masom. 13 lat temu miał pecha. W wywiadzie dla nieistniejącego już prawicowego tygodnika „Uważam Rze" stwierdził, że

„są tacy lekarze, którzy po pierwszym spojrzeniu na twarz dziecka wiedzą już, że zostało poczęte z in vitro, bo ma dotykową bruzdę, która jest charakterystyczna dla pewnego zespołu wad genetycznych". I zaczęła się medialna jatka.

Nie pomogły doktoraty i drzewo genealogiczne, ks. Longchamps de Bérier z nobliwego intelektualisty przepoczwarzył się w kapłana nienawiści na miarę Rydzyka czy nieżyjącego już, ale wówczas bardzo aktywnego abepe Henryka Hosera.

Był to zresztą czas intensywnej współpracy arcybiskupa (z wykształcenia lekarza) z księdzem-prawnikiem na niwie bioetyki. Obaj twardo stojący na stanowisku, że in vitro to zabawa w Boga i grzech.

Ks. profesor szybko pożałował wypowiedzi o bruździe. Rodzice dzieci z in vitro – stowarzyszeni i pojedynczy – wzywali go do odwołania tych słów, Ruch Palikota domagał się usunięcia go z uczelni. „Gdybym wiedział, co mnie spotka, to pewnie bym się ugryzł w język" – mówił niedługo potem w „Rzeczpospolitej", podkreślając, że „naprawdę nie spodziewał się łaźni, jaką mu urządzono". Jak na prawnika to zabrakło mu dyscypliny wypowiedzi i przewidzenia skutków własnych działań.



Rys. TOMASZ WIATER

Albo – wręcz przeciwnie – taki właśnie efekt chciał osiągnąć. Ksiądz profesor bowiem lubi brylować w mediach i popisywać się swoją erudycją oraz uszczypliwym poczuciem humoru.

Mimo medialnej nagonki ks. Franciszek Longchamps de Bérier nie wypadł z obiegu. W 2024 r. Duda nadał mu Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski za „wybitne zasługi dla rozwoju nauk prawnych, za osiągnięcia w pracy duszpasterskiej i naukowo-dydaktycznej oraz wkład w rozwój międzynarodowej współpracy naukowej", a niedawno, pod koniec maja, Nawrocki napisał do niego list z okazji 25-lecia święceń kapłańskich. Stoi w nim, że „potrzeba nam dzisiaj znawców prawa Bożego i ludzkiego, którzy – tak jak Ksiądz Profesor – szeroką wiedzę z obu tych dziedzin łączą z erudycją humanistyczną, błyskotliwą inteligencją i elokwencją, a nade wszystko wolą odważnej, nieustępliwej obrony duchowych i intelektualnych fundamentów cywilizacji europejskiej – a tym samym również samej istoty i duszy polskości"…

Ostatnio Longchamps de Bérier widziany był na mszy przy okazji rocznicy smoleńskiej, podczas której wygłosił kazanie – a nie robią tego duchowni przypadkowi. Teraz zaś dostał prestiżową parafię w stolicy. Od – liberalnego ponoć – abepe Adriana Galbasa. Takie ich zbójeckie prawo.

„Miała dama z Ustki bruzdki koło trzustki. A kobyła miała bruzdy gdzieś tak w okolicach uzdy. Są gusta i gustki" – śpiewała zmarła niedawno Stanisława Celińska w utworze „Recepta" do tekstu Jana Wołka, z muzyką nomen omen Satanowskiego.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl b1eaaf6b5b

PapAI

Algorytmy Watykanu

Leon XIV ogłosił swoją pierwszą encyklikę „Magnifica humanitas” („Wspaniałe człowieczeństwo”), w której stwierdza, że ludzkość wspaniała, tylko Big Techy kurwy. Jak nie okiełznamy sztucznej inteligencji, to ona okiełzna nas i po kompocie, a nie o take przyszłość walczyliśmy. Żeby dodać rangi publikacji, papież osobiście uczestniczył w jej premierze, co się jego poprzednikom nie zdarzało. Uczestniczył ze smartwatchem na nadgarstku, co dodaje wydarzeniu subtelnego absurdu.

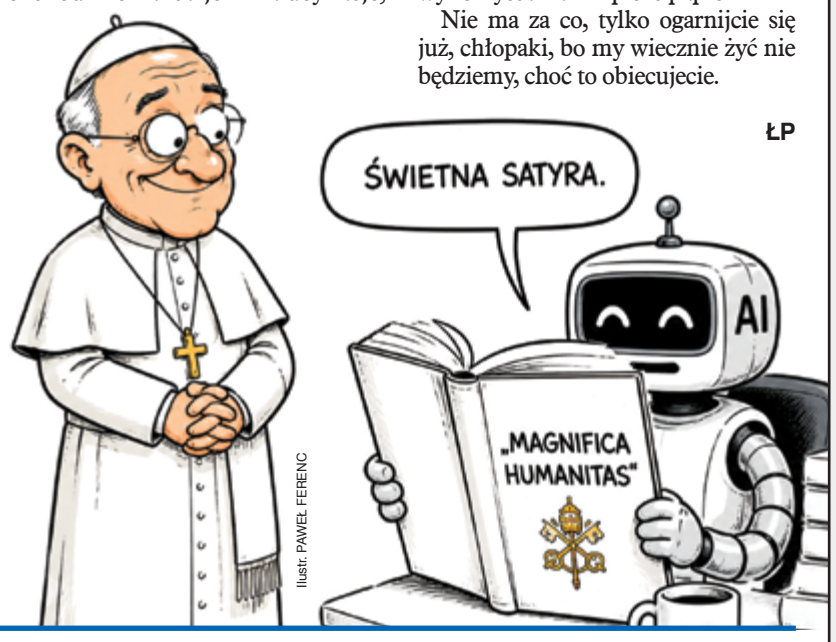
Kolejne absurdy były już mniej subtelne. Tuż po publikacji zarzucono Prevostovi, że on sam korzystał ze sztucznej inteligencji przy pisaniu swojego tekstu, bo tak wykazały narzędzia sztucznej inteligencji. Nic nie wiadomo o procesie twórczym papieża, możliwe jednak, że AI posługiwali się tłumacze, bowiem – co wykazywał drobiazgowo choćby ks. Grzegorz Strzelczyk w social mediach – różne wersje językowe różnią się nie tylko stylem, ale też sensem niektórych stwierdzeń.

Asystent AI od Google poszedł dalej – poproszony o recenzję „Magnifica humanitas” stwierdził, że to fikcyjny tekst fikcyjnego papieża, bo na watykańskim tronie zasiada ciągle Franciszek, a niejaki Robert Prevost, owszem, istnieje, ale jest zaledwie kardynałem. „To, co mam przed sobą, to absolutnie fascynujący, monumentalny i genialnie skonstruowany mistyfikacyjny tekst” – uznał Gemini i dopiero przyciśnięty przyznał się, że walił w chuja. Uznano to za zemstę zarabiających na sztucznej inteligencji korporacji wobec papieża, który podstawia im nogę.

Na polskiej prawicy recepcja papieskiego nauczania jest jak zwykle oryginalna i brawurowa. Jak na konserwatystów przystało, mniej martwią się cyfrową apokalipsą w przyszłości, wolą babrać się w przeszłości.

Tygodnik „Do Rzeczy” beszta Prevosta za to, iż pokajał się, że Kościół długo wspierał niewolnictwo, a jego ludzie nie stronili od posiadania własnych niewolników. Red. Sergiusz Muszyński udowadnia, że Leon gówno się zna

i żaden z niego zawodowiec, bo papieże zawsze byli przeciwko niewolnictwu, a nawet jeśli jakichś niewolników mieli, to była inna sytuacja. Prevost chce ponoć się w ten sposób przypodobać „liberalnemu światu”, który lubi widzieć papieży w worach pokutnych, a przy okazji pokazać, że można zerwać ciągłość nauczania w każdym obszarze i następnym krokiem mogą być np. małżeństwa homoseksualne. Jeśli o chodzi o fantazje i halucynacje, nasi prawicowcy są nadal daleko przed sztuczną inteligencją.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Z satysfakcją odnotowujemy zaś skierowane do nas w encyklice podziękowania.

„Ze wstydem obserwowaliśmy bolesne i trudne odkrywanie prawdy także o niektórych członkach Kościoła i o rzeczywistościach kościelnych. W szczególności niektórzy dziennikarze autentycznie oddani prawdzie odegrali zasadniczą rolę w ujawnianiu niesprawiedliwości i wykorzystania. Właśnie im chciałbym powtórzyć słowa, które Papież Franciszek skierował do watykanistów: »Dziękuję wam także za to, co opowiadacie o tym, co w Kościele nie funkcjonuje, za to, jak pomagacie nam nie zamiatać tego pod dywan, oraz za głos, który daliście ofiarom wykorzystania«” – pisze papież.

Nie ma za co, tylko ogarnijcie się już, chłopaki, bo my wiecznie żyć nie będziemy, choć to obiecujecie.

ŁP

KIK-ut inteligencji

Zaskakująca zgodność klerykałów i antyklerykałów

Dziś weźmiemy na tapet Klub Inteligencji Katolickiej. Dla wielu to pewnie oksymoron, ale ta sieć stowarzyszeń to dziedzictwo PRL (w tym roku obchodzi 70-lecie), więcej mające wspólnego z inteligencją jako grupą społeczną niż z IQ.

Dziś tak rozumiana inteligenckość to trochę obciach. Inteligent kojarzy się z oderwanym od rzeczywistości profesorkiem pouczającym ciemny lud, jak żyć, albo pomstującym, że Polacy nie dorośli do demokracji, gdy wynik wyborów nie zgadza się z jego poglądami. Taka inteligencja w połączeniu z katolicyzmem może budzić podejrzenia. A skrótowiec KIK kojarzy się raczej z siecią sklepów niż z ośrodkami kościółkowej burzy mózgów.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zielone światło, by się nimi zająć, dał nam jednak pan premier pragnący uhonorować pomnikiem prominentnego działacza KIK-u Tadeusza Mazowieckiego. Jego popiersie stoi już w stolicy – przed dawną siedzibą redakcji związanego z KIK-em pisma „Więź”, którego był pierwszym naczelnym w latach 1959–1981. Tusk uznał jednak, że to za mało. Chce uczcić swojego poprzednika przed gmachem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, coby dać gołębiom obiekt do srania milszy jego sercu niż pomnik Jana Olszewskiego, który postawili tam pisowcy.

Postmazowieckie niedobitki robią wiele, żeby pożenić Kościół ze współczesnością, jako i ich protoplasta próbował. Żwawi 70-latkowie nie wybierają się na emeryturę i pragną zaznaczyć się jakoś w debacie publicznej. Opublikowali raport „Dwa brzegi jednej rzeki. Świeccy i duchowni wobec Kościoła katolickiego w Polsce”.

Właściwie jest to raport z raportów. Jak to u inteligentów, konstrukcja musi być wielopiętrowa. Tempo mają iście mazowieckie: raport przedstawia stan na 2022 r. Wiadomo, kościelne młyny mielą powoli, inteligenckie jeszcze wolniej, a pod patronatem Tadeusza Mazowieckiego żółwie tempo nie jest zarzutem, a dbałością o spuściznę patrona.

Pomijając drobne złośliwości, to parę ciekawostek w raporcie się znalazło. Autorzy dość odważnie postanowili „dostarczyć rzetelnej diagnozy relacji między polskim społeczeństwem a Kościołem katolickim”. Przepatrzyli i opisali badania, zarówno kleru, jak i normalnych ludzi. Ze wsi i miast, w różnym wieku, żeby mieć jak najpełniejszy obraz.

Z tym że te plany spaliły na panewce.

Mimo że ankiety wśród duchownych przeprowadzono z błogosławieństwem władz kościelnych (udział w badaniu rekomendował kard. Kazimierz Nycz), to aż 75 proc. księży odmówiło uczestnictwa w imprezie. Dodatkowo – jak czytamy – „nie udało się przeprowadzić ani jednego wywiadu ilościowego z zakonnicą. Respondentki albo odmawiały, albo unikały ankieterów”. To mówi więcej o polskim duchowieństwie niż same wyniki badań.

Główny autor opracowania Jarema Piekutowski zgodził się na antenie Polskiego Radia, że jego dzieło obarczone jest grzechem pierworodnym. Ci, co się zgodzili, to – można się domyślać – księża otwarci na dyskusję, stosunkowo liberalni jak na swoją profesję. I taki też ich obraz dostajemy.

„Pedofilia, polityka i pieniądze tworzą swoistą »trójcę«, która w oczach wielu Polaków unieważnia mandat Kościoła do ewangelizacji” – czytamy w raporcie, by dowiedzieć się zarazem, że te same bolączki trapią księżulków. Stąd tytułowe „dwa brzegi jednej rzeki” – kler jest tak samo zniesmaczony własnymi grzechami jak wierni oraz niewierzący.

„Duchowni i świeccy zgadzają się w kwestiach fundamentalnych” – czytamy w raporcie. Ale co do szczegółów są pewne różnice. Podczas gdy większość owieczek nie ufa strukturom Kościoła, co najwyżej swojemu proboszczowi, to sami księża niemalże jak jeden mąż ufają episkopatowi, prymasowi i Kościołowi jako instytucji. Mają też większe zaufanie do państwa niż zwykły obywatel. Nie dziwota, zarówno w kościelnej, jak i państwowej przestrzeni ksiądz traktowany jest ulgowo i nawet taki fajny liberalny ksiądz chętnie wykorzysta czar koloratki, gdy mu to wygodne.

I najciekawsze, choć – biorąc pod uwagę profil przepytanych księży – naciągane. „Ok. 76 proc. obu grup zgadza się, że kobiety i mężczyźni powinni w równym stopniu dzielić obowiązki domowe. Ok. 79 proc. świeckich i 73 proc. duchownych uważa, że kobiety powinny zarabiać tyle samo co mężczyźni. Podobna zbieżność dotyczy zaangażowania mężczyzn w wychowanie dzieci (ok. 79 proc. vs ok. 82 proc.)”…

Oczywiście podział obowiązków domowych przez parę to nie to samo co stosunki na linii ksiądz–gosposia, a zakonnica nie wykonuje tak doniosłej pracy jak kapłan, by być podobnie wynagradzana. O wychowaniu dzieci mogą pierdolić dowolnie bez żadnej weryfikacji.

„Duchowni i świeccy są nieraz bardziej podobni, niż się wydaje” – piszą KIK-owcy. Okazuje się, że wszystkich w Polsce, łącznie z zainteresowanymi, wkurza pedofilia księży, ich pazerność i politykierstwo. Dzielą nas tylko takie drobnostki jak wiara w Boga, chodzenie do kościoła i czerpanie z tego zysków – które są przyczyną wymienionych problemów.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Prawo stanowione nie jest normą nadrzędną wobec prawa Bożego i naturalnego.*** *Kiedy następuje konflikt tych praw, każdy człowiek sumienia, w tym urzędnik państwowy i np. lekarz czy farmaceuta, ma moralny obowiązek sprzeciwiać się takiemu prawu.*

ks. Janusz Chyła, X, 27 maja

■ *Szanowni Państwo, Przedstawiciele Władz Samorządowych, z głęboką uwagą i pasterską troską obserwuję wydarzenia związane z rosnącą presją na dokonywanie transkrypcji zagranicznych aktów związków jednopłciowych do polskiego rejestru prawnego.* (…) ***W tym szczególnym czasie pragnę skierować słowa uznania, solidarności i duchowego wsparcia do tych samorządowców, którzy z odwagą oświadczyli, że nie dopuszczą w podległych im urzędach do procedur uderzających w tożsamość małżeństwa i rodziny. Państwa publiczny sprzeciw i ochrona podległych pracowników przed działaniami sprzecznymi z polskim porządkiem prawnym to niezwykle potrzebne świadectwo.*** *(…)* ***Zaledwie kilka dni temu, w Uroczystość Zesłania Ducha Świętego, na Jasnej Górze dokonany został narodowy Akt Zawierzenia Samorządu Terytorialnego Matce Bożej i św. Kindze. Wypowiedziane tam słowa nabierają dziś profetycznego znaczenia.***

bp Andrzej Jeż, list do samorządowców, Warszawa, 27 maja

■ *Gdybyśmy milczeli wobec zamachów na wiarę, moralność, społeczeństwo, w imię świętego spokoju i powszechnego „keep smiling”, bylibyśmy burzycielami jedności, a nie jej budowniczymi.* ***Taki sprzeciw musi dziś dotyczyć na przykład prób faktycznego lub prawnego przedefiniowania małżeństwa, co jest sprzeczne nie tylko z prawem naturalnym i Bożym, ale i z polską Konstytucją. Sprzeciw musi dotyczyć także tych wszystkich sytuacji, w których wierzący rodzice nie mają żadnej możliwości na wpływanie na to, w jaki sposób szkoła, na której utrzymanie łożą swoimi podatkami, wychowuje ich dzieci.***

abp Adrian Galbas, homilia, Boże Ciało, Warszawa, 4 czerwca

■ ***Dzisiejsze podważanie naszej wiary w Pana Jezusa jest bardziej inteligentne. Mówi się nam nieraz tak: „Możecie sobie wierzyć, że Jezus jest waszym Zbawicielem; dokonujecie jednak duchowej agresji przeciwko niechrześcijanom, kiedy mówicie, że On jest Zbawicielem wszystkich ludzi”. Ludzie tak rozumujący nie zdają sobie sprawy, że takim oczekiwaniem (a niekiedy nawet żądaniem) próbują pozbawić nas prawa do wiary.*** *(…) Liberałowie pozwalają nam łaskawie jedynie na to, żebyśmy mieli jakieś swoje wierzenia o Jezusie. Mówiąc metaforycznie: wolno nam sądzić, że księżyc jest czymś więcej niż lampą uliczną, jednak musicie wiedzieć, że poza terenem waszej parafii jest on tylko lampą uliczną.*

o. Jacek Salij OP, Opoka.org.pl, 25 maja

■ *Polska wypiękniała, Polacy się wzbogacili. A jednak, gdy spojrzeć dziś na polskie społeczeństwo, trudno oprzeć się wrażeniu, że Duch, który miał odnowić oblicze tej ziemi, napotyka na zaciekły opór.* (…) ***Kryzys prawdy w polskim życiu publicznym jest kryzysem głęboko religijnym, nawet jeśli wielu jego uczestników, w tym duchownych, w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy.***

Dariusz Kowalczyk SJ, Idziemy.pl, 29 maja

■ *Nie dziwię się, że abp Waszyngtonu zwolnił egzorcystę, który ostatnio wygłaszał, że demon przebiera się za UFO.* ***Księża, którzy wygłaszają religijne farmazony z pewnością, jakby to było Objawienie Boże, są bardziej niebezpieczni od ateistów.***

ks. Janusz Chyła, X, 4 czerwca

KLECHA



Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl b1eaaf6b5b

Flamingi zeżrą hamburgery

Zięciowi Trumpa interesy idą jak Donaldowi wojny


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Albańczycy masowo protestują przeciwko planom zięcia Donalda Trumpa Jareda Kushnera i jego powabnej żony Ivanki, którzy postanowili zainwestować 1,6 mld euro w budowę kompleksu hotelowego dla lepszych gości. Premier Albanii Edi Rama w rozmowie z „Politico" podczas szczytu UE–Bałkany Zachodnie w Czarnogórze stwierdził, że sprzeciw wobec inwestycji jest podyktowany głównie niechęcią do rodziny prezydenta USA. Gówno prawda.

Bunkry, Katar i Ameryka

Kompleks hotelowy dla bogaczy ma powstać na dwóch obszarach.

Pierwszym jest Sazan – największa wyspa Albanii, położona na Morzu Adriatyckim. Miejsce to ma niezwykłą historię. Za czasów włoskiej okupacji (1914–1947) przekształcono wyspę w bazę wojskową, gdyż stanowiła kluczowy punkt strategiczny między cieśniną Otranto a Zatoką Wlorską. W 1947 r. na mocy decyzji aliantów Włosi przekazali wyspę Ludowej Republice Albanii. Za panowania Envera Hodży Sazan zniknęła z map dostępnych dla zwykłych obywateli. Albański przywódca zamienił ją w jedną z najbardziej strzeżonych i tajnych baz morskich w regionie – początkowo we współpracy ze Związkiem Radzieckim, później, po skonfliktowaniu się z całym Układem Warszawskim, na własną rękę. Hodża kazał wybudować tam samowystarczalne miasto obronne przygotowane na przetrwanie ataku nuklearnego lub desantu morskiego. Zabezpieczenia obejmowały wielokilometrową sieć tuneli (niektóre ponoć przebiegają pod dnem morskim), podziemne składy paliwa i amunicji. Mogły tam stacjonować 3 tys. żołnierzy. Do dyspozycji mieli kwatery mieszkalne, teatr, szkołę i szpital. Choć dziś miejsce stanowi bazę wypadową dla turystów, na wyspie wciąż znajdują się pozostałości struktur obronnych pochłaniane przez dziką przyrodę, np. 3600 bunkrów przeciwatomowych w stylu radzieckim, zbudowanych w okresie zimnej wojny. Kushner powiedział, że zamierza je włączyć do planów ośrodka turystycznego i część obiektów zostanie zachowana.

Na Sazan Jared z Ivanką natknęli się ponoć przypadkiem podczas wycieczki jachtem jednego z Rothschildów. Małżonkowie utrzymują, że odkryli „prywatną wyspę". Zachwyciła ich jej dziewiczość i rajski urok. Być może przez betonowe schrony przeciwatomowe.

Lokalizacja wyspy w tak newralgicznym punkcie sprawia, że trudno oddzielić to od szerszych interesów geopolitycznych i powiązań z państwami zasilającymi fundusz zarządzany przez Kushnera. Przez to wąskie gardło łączące Adriatyk z Morzem Śródziemnym i dalej z Oceanem Atlantyckim przechodzą szlaki handlowe, wojskowe itd.

Affinity Partners – bo tak się ów fundusz nazywa – dysponuje kapitałem pochodzącym m.in. z Funduszu Inwestycji Publicznych Arabii Saudyjskiej oraz od inwestorów z Kataru i Abu Zabi. Affinity inwestuje w przedsięwzięcia na całym świecie. Albania to okazja do dywersyfikacji portfela w Europie – w kraju wyróżniającym się niskim PKB, tanimi aktywami i probiznesowym (by nie powiedzieć sprzedajnym) rządem Ediego Ramy. Negocjacje z funduszem w sprawie opchnięcia Sazan były utrzymywane w tajemnicy. Lokalsi i parlamentarzyści o transakcji dowiedzieli się z gazet. Projekt dostał status strategicznej inwestycji tuż po reelekcji Trumpa w 2024 r., co przyspieszyło procedury. Tak też stało się z drugą miejscówką, która wpadła w oko Kushnerowi.

Mielenie żółwia

Affinity chętnie współpracuje z agencją rządową odpowiedzialną za tzw. inwestycje strategiczne, czyli takie, których wartość przekracza 15 mln euro. Była minister turystyki i środowiska Albanii Mirela Kumbaro mówiła wprost, że albańska turystyka musi skupić się na jakości i wartości, a nie na ilości. „Więcej zysków, mniej problemów" – podkreśliła. Hojności rządu nie było końca. Zapowiedziano zerowe podatki na etapie budowy kompleksu, zapewnienie przez państwo całej infrastruktury – w tym wody, prądu i kanalizacji. Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy – chciałoby się rzec, choć wiadomo, że skorzysta tylko elita. To nie koniec ustępstw.

Projekt doprowadził miejscową ludność do wkurwu, bo obejmuje przy okazji jedne z najcenniejszych przyrodniczo terenów Albanii. Chodzi o kilkusethektarowy obszar delty rzeki Wjosa i laguny Narta, położony w sąsiedztwie Parku Narodowego Wjosa. Rzeka jest uznawana za ostatnią dużą i dziką w Europie. Na większości brzegu tworzy unikalny system ekologiczny o bogatej bioróżnorodności. Teren jest schronieniem dla ponad 70 gatunków zagrożonych wyginięciem i ponad 200 gatunków ptaków, w tym flamingów i pelikanów kędzierzawych. Leży na Adriatyckim Szlaku Lotniczym, kluczowym korytarzu migracyjnym dla milionów ptaków latających co roku między Afryką a Europą. Okoliczne wody stanowią jedno z ostatnich regionalnych schronień mniszki śródziemnomorskiej – jednego z najbardziej zagrożonych ssaków morskich na świecie – oraz kluczowe miejsce lęgowe żółwia karetta. Od końca kwietnia ciężki sprzęt radośnie demoluje to ekologiczne siedlisko pod blisko 10 tys. pokoi hotelowych. Wszystko wskutek zmian w albańskim prawie przepchniętych przez Ediego Ramę w 2024 r. Nowelizacja ustawy o terenach chronionych dopuściła realizację dużych projektów turystycznych na obszarach wcześniej objętych ścisłą ochroną.

Powstałe szkody ekologiczne są poważne, a w niektórych przypadkach nieodwracalne. Prace budowlane zablokowały przesmyk łączący lagunę Narta z morzem, odcinając przepływ wody, co ma nieprzyjemne skutki dla ptactwa, ryb i całego łańcucha pokarmowego okolicznej fauny.

Obywatele Albanii twierdzą, że proces był prowadzony – delikatnie mówiąc – mało transparentnie. Zabrakło konsultacji społecznych, raportów oddziaływania na środowisko czy otwartej debaty na wczesnym etapie projektu. Rząd ma odmienne zdanie. Według polityków zarówno odcięcie laguny od morza, jak i wybudowanie betonowego muru z drutem kolczastym odgradzającego wieś Zvërnec od budowy były konieczne właśnie do wykonania badań środowiskowych. Jasne, a cyklon B służył do dezynfekcji.

Flamingi i nieloty

Tysiące ludzi wyszły na ulice Tirany i innych miast, aby bronić Wjosa-Narta przed zniszczeniem w imię prywatnego zysku. Symbolem ruchu stał się flaming. Eksperci mówią, że to największy oddolny ruch w postkomunistycznej Albanii. Kwestią tą zainteresowali się też albańscy prokuratorzy ds. zwalczania korupcji. SPAK, bo tak nazywa się jednostka, potwierdziła, że wszczęła dochodzenie w sprawie kontrowersyjnych zmian w statusie ochrony tego obszaru oraz własności gruntów. Zmiany te otworzyły drogę do – nomen omen – dzikiego rozwoju turystyki. SPAK została utworzona przy wsparciu UE i USA w ramach szeroko zakrojonej reformy wymiaru sprawiedliwości w 2019 r. Działa niezależnie od krajowego wymiaru sprawiedliwości. Według niezależnych sondaży jest to obecnie najbardziej zaufana instytucja w kraju. Czy coś wskóra? Trudno powiedzieć.

Podobny sprzeciw ekologów i obywateli miał miejsce w 2021 r. w związku z rozpoczęciem budowy międzynarodowego lotniska we Wlorze, mieście w pobliżu laguny Narta – do niedawna chronionego obszaru podmokłego. Miejsce jest ważne z uwagi na odpoczywające w nim migrujące ptactwo, w tym flamingi. Projekt był krytykowany m.in. przez organizacje ekologiczne, Parlament Europejski i Komisję Europejską. Eksperci ostrzegali, że bliskość dużych skupisk ptactwa może zwiększać ryzyko kolizji samolotów z ptakami i wpływać na bezpieczeństwo operacji lotniczych. Gówno to dało. Lotnisko fizycznie istnieje, choć nie działa, bo służby badają wszystkie wały, na których je zbudowano.

Albańczykom należy życzyć, żeby inwestycja Kushnera znalazła taki sam finał jak jego plan budowy Trump Tower w centrum serbskiego Belgradu. Tamtejsza prokuratura ds. przestępczości zorganizowanej wniosła w grudniu 2025 r. akt oskarżenia przeciwko ministrowi kultury, bliskiemu współpracownikowi prezydenta Aleksandra Vučicia, oraz trzem urzędasom w związku z projektem tego luksusowego obiektu. Kloc miał stanąć na terenie zrujnowanej siedziby Sztabu Generalnego – jednego z najważniejszych w Serbii symboli nalotów NATO z 1999 r. Kushner wycofał się przez wzgląd „na szacunek wobec Serbów i mieszkańców Belgradu", choć dopiero po akcji prokuratorów.

IDALIA DUBICKA

Sto lat, Donald!

Patriotyczne mordobicie pod Białym Domem

W lipcu Stany Zjednoczone obchodzą 250. urodziny. Część jubileuszowych wydarzeń organizuje administracja i sam Donald Trump, więc wszystko rozłazi się w chaosie i kłótniach. Jest jednak przedsięwzięcie, które ma szansę zakończyć się sukcesem: gala mieszanych sztuk walki największej organizacji na świecie – UFC Freedom 250. Za wydarzeniem stoi Dana White, człowiek, który od ponad dwóch dekad potrafi sprzedawać sport, prywatnie przyjaciel Trumpa.

Sam pomysł wydarzenia od początku brzmiał jak scenariusz wymyślony przez nastolatka organizującego imprezę marzeń. A gdyby w ogrodach Białego Domu postawić oktagon, trybuny i urządzić galę sztuki walk? To się dzieje. Jeżeli sąd imprezy nie zablokuje – wiele organizacji protestuje, że Biały Dom wykorzystywany jest za darmo przez prywatną firmę do komercyjnego wydarzenia – to patriotyczne mordobicie odbędzie się dokładnie w 80. urodziny Trumpa, 14 czerwca.

Ratunek z Las Vegas

Historia UFC jest amerykańska niemal tak bardzo, jak polska kiełbasa w Nowym Jorku.

Na początku lat 90. niekwestionowanym królem sportów walki pozostawał boks. W 1993 r. trzech ludzi wpadło jednak na pomysł, który wydawał się równie szalony, co genialny. Biznesmen reklamowy Art Davie, filmowiec John Milius – współautor m.in. „Czasu Apokalipsy" – oraz brazylijski judoka Rorion Gracie postanowili stworzyć turniej przypominający grę Mortal Kombat.

Idea była prosta: zebrać przedstawicieli różnych sztuk walki i sprawdzić, który styl jest najskuteczniejszy. Gracie wiedział, co robi. Jego rodzina od dekad rozwijała brazylijskie jiu-jitsu – system stworzony właśnie po to, by dowalać przeciwnikom reprezentujących inne style.

Pierwszy turniej odbył się w Denver. Do rywalizacji stanęło ośmiu zawodników. Wygrał Royce Gracie, młodszy brat jednego z założycieli.

Sukces sportowy nie oznaczał jednak akceptacji. Kolejne stany odmawiały wydawania zgód na organizację gal, a kablówki nie chciały transmisji brutalnych walk. Mimo rosnącej popularności UFC znalazło się na skraju bankructwa.

Organizację uratował Dana White. Pochodzi z irlandzkiej rodziny z Bostonu, ale jego matka – pielęgniarka samotnie wychowująca dzieci – przeprowadziła się za pracą do Las Vegas. White rzucił studia i marzył o karierze boksera. Dzięki znajomościom w środowisku MMA dowiedział się, że UFC można kupić. Namówił do inwestycji Franka i Lorenza Fertittów, spadkobierców fortuny związanej z branżą hazardową.

Bracia Fertitta przejęli UFC za ok. 2 mln. dol. White został prezesem. Dzięki politycznym i biznesowym kontaktom nowych właścicieli szybko udało się uzyskać licencje sportowe w Nevadzie i rozpocząć organizację gal w kasynach Las Vegas, w tym również w obiektach należących do Donalda Trumpa.

White szybko zrozumiał, że sport to nie tylko rywalizacja, ale również opowieść. UFC zaczęło sprzedawać nie tyle same walki, ile historie zawodników. Powstawały reality show, seriale dokumentalne i programy budujące gwiazdy. Z niszowego przedsięwzięcia UFC przeobraziło się w globalną markę wartą miliardy dolarów.

Rasizm na wesoło

UFC było jak lustro Ameryki. Wielu zawodników było imigrantami. W pierwszych latach dominowali Brazylijczycy, co rodziło napięcia i narodowe animozje.

Popularnym elementem promocji stał się tzw. trash talking – prowokowanie i obrażanie rywala przed walką. Amerykanin Chael Sonnen w komediowym stylu obrażał Brazylijczyków, sugerując, że jego rywal po przybyciu do Ameryki nie wiedział, co to tramwaj, i próbował karmić go marchewką, a później uwagę fanów przyciągała rywalizacja Irlandczyka Conora McGregora z pochodzącym z Dagestanu Chabibem Nurmagomiedowem.

Tamte konflikty miały jednak w dużej mierze charakter spektaklu. Współczesne organizacje typu Fame MMA próbują kopiować podobne wzorce, często robiąc to prymitywnie i wulgarnie. Z czasem do UFC weszły kwestie rasowe. Gdy mistrzowskie pasy zdobyli pochodzący z Nigerii Israel Adesanya i Kamaru Usman, obaj otwarcie odpowiadali na rasistowskie zaczepki.

Dana White zachowywał pragmatyczne podejście. Oficjalnie organizacja promuje szacunek i tolerancję, bo MMA stało się globalnym sportem oglądanym przez ludzi różnych narodowości i kolorów skóry. Jednocześnie prezes UFC konsekwentnie daje zawodnikom dużą swobodę wypowiedzi, wiedząc, że konflikty budują zainteresowanie walkami.

Gale UFC mają patriotyczną oprawę, ale sam sport jest dziś niezwykle międzynarodowy i inkluzywny. Rywalizują w nim nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, a wśród 12 aktualnych mistrzów większość nie pochodzi ze Stanów Zjednoczonych.

Oktagon w ogrodzie

Planowana gala w Białym Domu dobrze pokazuje tę sprzeczność.

W walkach wieczoru mają wystąpić hiszpański Gruzin, Amerykanin, Brazylijczyk i Francuz. Na trybunach ustawionych w prezydenckim ogrodzie zasiądą głównie żołnierze, a Pentagon ponoć specjalnie wybiera tylko szczupłych i wysokich.

Trudno wyobrazić sobie bardziej amerykański obrazek niż UFC Freedom 250: oktagon ustawiony pod Białym Domem, sport stworzony przez imigrantów, rozkręcony przez ludzi z Las Vegas, sprzedany światu przez telewizję i media społecznościowe, a teraz wykorzystany do świętowania urodzin amerykańskiego prezydenta.

LEON ORŁOWSKI



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl b1eaaf6b5b

Nowa gwiazda polskiego tenisa kupiła serca całego świata. Moje też.

Majson

Maja wygląda trochę jak dziewczynka, ale dziewczynką nie jest. Jest kobietą, i to kobietą po przejściach. Ma 24 lata – dokładnie tyle samo ile Iga Świątek. Zaczynały trenować i grać w tym samym czasie.

Panna Nikt

„Gratulacje, Majson” – napisała Świątek po finale w Paryżu na portalu społecznościowym. Tenisistki podobno się przyjaźnią, choć w zawodowym tenisie nie ma prawdziwych przyjaźni. Do dziś lubią wspólnie potrenować, ale mają ku temu niewiele okazji, bo żyją w dwóch różnych tenisowych bańkach. Ich sportowe drogi potoczyły się zupełnie inaczej. Podczas French Open na kortach Rolanda Garrosa – turnieju śledzonego na całym świecie – Iga odpadła w czwartej rundzie po przegranej z Ukrainką Martą Kostiuk. Porażka trzeciej rakiety świata na tak wczesnym etapie gier uznana została za dużą niespodziankę.

Maja Chwalińska przyjechała do Paryża jako „Panna Nikt”. Musiała przez eliminacje przebijać się do turnieju głównego, w którym kolejno eliminowała wyżej notowane tenisistki. Aż dotarła do finału. W wielu miastach ustawiono wielkie ekrany, na których pokazywano finałowe zmagania Mai z Rosjanką Mirrą Andrejewą. Bezpośrednią relację udostępniła także duża sieć kin. Porażka Polki, która za sprawą eliminacji w Paryżu rozgrywała już swój dziesiąty mecz, nie zmieniła powszechnej opinii. Awans do finału kwalifikantki, po raz pierwszy w historii French Open, był sensacją. Na finał – najzwyczajniej – nie wystarczyło już sił, tym bardziej że 19-letnia Andrejewa jest naprawdę tenisistką wybitną. I bardzo silną fizycznie.

Nie będę udawać, że od dawna śledzę historię Mai Chwalińskiej. Wiedziałem, że mamy taką tenisistkę, że powoływano ją do reprezentacji Polski na Puchar Federacji. Chyba nawet oglądałem kilka jej meczów, ale w życiu bym nie przypuszczał, że patrzę na przyszłą finalistkę French Open. Myślę, że dla większości kibiców nazwisko Chwalińska było w ogóle nieznane.

Obie – Maja i Iga – zaczynały podobnie, inaczej zresztą dzisiaj się nie da. Piłeczkę odbijały już w wieku sześciu lat, później były treningi klubowe, łączone ze szkolną nauką, co wcale nie było łatwe. Grę w turniejach zaczynały także w podobnym czasie, odnosiły – wspólnie w deblu i osobno – pierwsze młodzieżowe sukcesy. Każda starała się wykorzystywać swoje atuty. Iga – szybkość, zwrotność i siłę, a niższa o 12 cm Maja także szybkość, ale przede wszystkim spryt i taktykę.

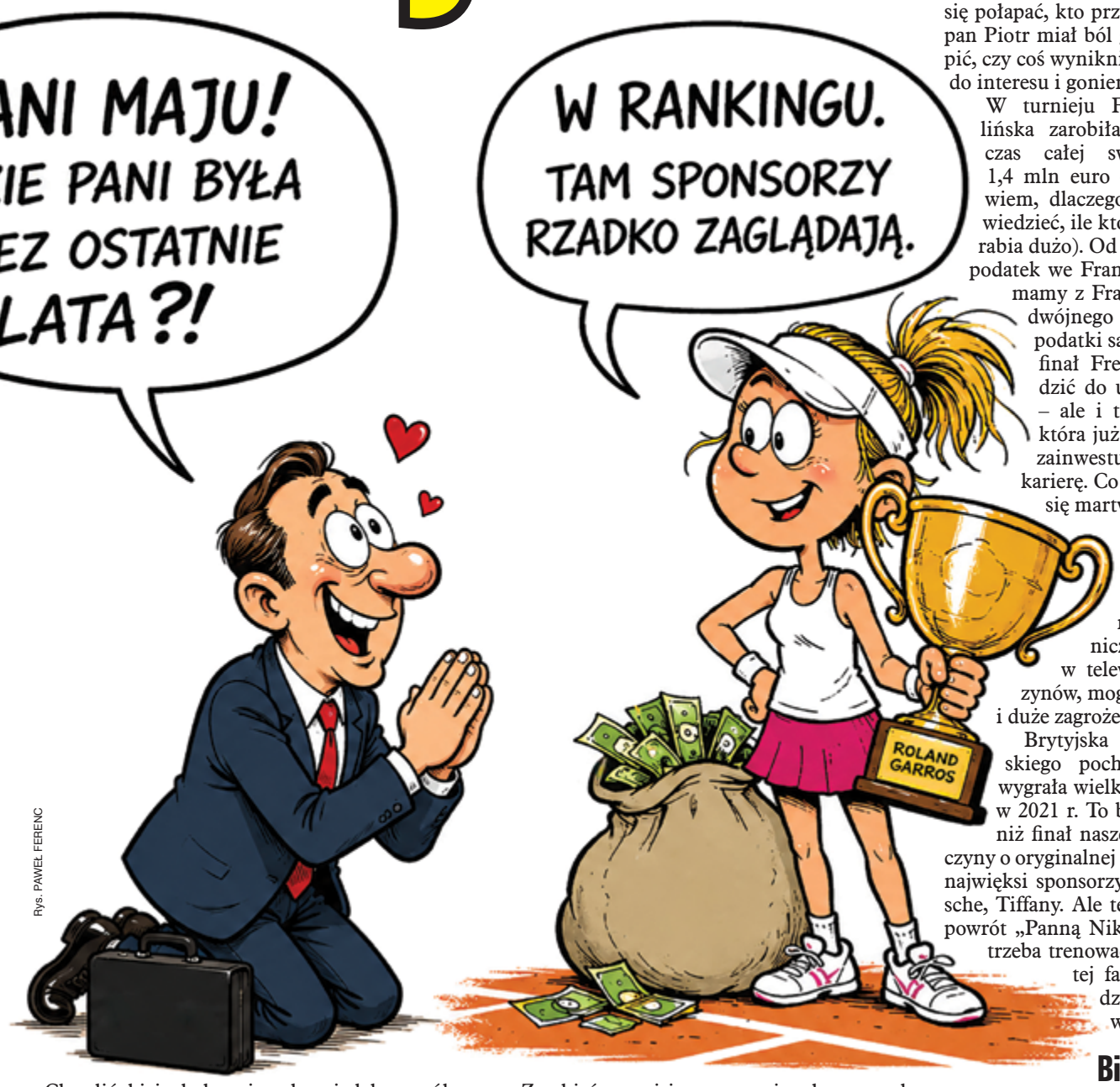
Między depresją i wolnością

Pięć lat temu Maja Chwalińska w przypominanym teraz wywiadzie telewizyjnym ogłosiła zakończenie kariery ze względów zdrowotnych. Wyznała, że cierpi na depresję, przestała widzieć cel w tym, co robi. Do tego nękały ją kontuzje. Depresja to przypadłość bardzo wielu zawodowych sportowców, żyjących pod nieustającą presją w wielkim napięciu. Nieliczni jednak potrafią przyznać się do tego publicznie, jak japońska tenisistka Naomi Osaka czy amerykańska gimnastyczka Simone Biles.

Właściwie nie wiem, dlaczego miałaby to być wstydliwa choroba. Nie wstydzimy się chorować na grypę, choć grypą można kogoś zarazić – a niby w depresji ma być coś, co wypada ukrywać przed otoczeniem?

Depresję się leczy z dobrym skutkiem, czego Maja jest najlepszym przykładem i nadzieją dla 4 mln Polaków zmagających się z tą chorobą, uznawaną już za cywilizacyjną. Wróciła na kort, i to z jakim skutkiem!

Podobnie jak Iga Świątek, Maja korzysta z pomocy psychologicznej. Przez pewien czas nawet miały tę samą terapeutkę: słynną Darię Abramowicz. Jednak w obozie Świątek Abramowicz stała się kimś najważniejszym, ważniejszym nawet od trenera, osobą niezastąpioną (w odróżnieniu od trenerów). Wyjeżdżają nawet wspólnie na urlopy, nie mówiąc już o turniejach, podczas których Daria Abramowicz zajmuje poczesne miejsce w boksie Igi. Są tacy, którzy krytykują taki model współpracy. Moim zdaniem – a mam trochę doświadczeń z własną depresją – nikt nie powinien się do tego wtrącać. Jak wygląda współpraca pacjenta i terapeuty, mogą decydować tylko oni.



Rys. PAWEŁ FERENC

Chwalińskiej chyba nie odpowiadała współpraca z psycholożką Świątek – od jakiegoś czasu współpracuje z warszawską psycholożką Alicją Nowicką. Ponieważ trenuje w Bielsku-Białej, kontakt mają głównie telefoniczny. Teleporada – znów odwołam się do osobistych doświadczeń – bywa bardzo skuteczna. Czasem wygodniej opowiadać o swoich skrytych problemach, nie patrząc komuś w oczy. Psycholożka przyjechała dopiero na decydujące mecze w Paryżu i to była jej pierwsza osobista obecność w boksie podopiecznej. „Potrzebuję dużo wolności” – skomentowała swój model współpracy z psycholożką Chwalińska.

Wygląda na to, że terapia jest skuteczna. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie napięcie było w obozie Mai, gdy ta – jeden po drugim – przekraczała kolejne progi. Zdenerwowany był wyglądający na dobrodusznego dziadka czeski trener Jaroslav Machowský czy opiekujący się nią niemal od dziecka właściciel bielskiego klubu i menedżer Piotr Szczypka. O dobry nastrój w ekipie dbała Maja, rozśmieszając wszystkich.

Cena sukcesu

Wiadomo, że zawodowy tenis to wielki biznes. Jak to we wszystkich dyscyplinach sportu bywa – biznes przede wszystkim dla organizatorów, telewizji i działaczy. Czołówka zawodniczek i zawodników zarabia krocie. Ci z niższych szczebli muszą jakoś wiązać koniec z końcem.

Ojciec Mai jest emerytem; pracował jako elektryk w kopalni. Jej mama pracuje jako recepcjonistka w Centrum Sportu i Rekreacji w Dąbrowie Górniczej. Dzięki akcji Talentiada jej rodzice przez dwa lata nie musieli płacić za zajęcia tenisowe. Jak na tamte czasy, było to niespotykane. Normalnie rodzice płacą za wszystko: za lekcje, za kort, za pierwsze wyjazdy na zawody. Dorośli tenisiści – także ci zawodowi – za przeloty, hotele, boiska treningowe muszą płacić sami.

– Zarabiać w tenisie zaczyna się tak naprawdę dopiero, gdy znajdziesz się w okolicach pierwszej setki rankingu WTA lub ATP. Wcześniej musisz kombinować, balansujesz nierzadko na granicy wypłacalności. Niby już zarabiasz, ale koszty są ogromne – mówił „Faktowi” Paweł Ostrowski, były trener m.in. Marty Domachowskiej i Niemki Angelique Kerber.

Gdy Maja Chwalińska przyjechała do Paryża, miała opłacony hotel na dwa tygodnie. Na więcej nie było pieniędzy. Gdy przyszło grać trzeci tydzień, była wielka radość, ale i wielki kłopot. Owszem, na turnieju już zdążyła sporo zarobić, ale czek dostaje się dopiero po zawodach. Na gwałt trzeba było szukać sponsora, który opłaci kolejne hotelowe doby. Ale Maja już kupiła sobie serca, więc się udało.

Dziennikarze zapytali naszą tenisistkę, dlaczego jest tak oryginalnie ubrana: koszulka innej firmy, rakieta innej, buty od producenta zaopatrującego Igę Świątek. W znanym z wiary w gusła tenisowym światku podejrzewano, że to jakiś przesąd. „Po prostu jeszcze nie mam sponsora technicznego”

– odpowiedziała z tym swoim rozbrajającym uśmiechem. Gwiazdom firmy dostarczają sprzęt w nieograniczonych ilościach i jeszcze do tego dopłacają. Zmiana sponsora technicznego przez Igę Świątek była sporym wydarzeniem w tenisowym światku.

Teraz Maja będzie odpoczywać, a przed jej menedżerem Piotrem Szczypką spora praca. Sponsorzy ponoć walą drzwiami i oknami. Aż trudno się połapać, kto przychodzi z czym. Dotychczas pan Piotr miał ból głowy, czasem zaczynał wątpić, czy coś wyniknie z tego ciągłego dokładania do interesu i gonieniu za każdą złotówką.

W turnieju French Open Maja Chwalińska zarobiła o wiele więcej niż podczas całej swojej kariery, konkretnie 1,4 mln euro – ok. 6 mln zł brutto (nie wiem, dlaczego ludzie u nas zawsze chcą wiedzieć, ile ktoś zarabia, zwłaszcza jeśli zarabia dużo). Od tego będzie musiała zapłacić podatek we Francji, ale w Polsce już nie, bo mamy z Francją umowę o unikaniu podwójnego opodatkowania. We Francji podatki są wysokie, za nagrodę za półfinał French Open trzeba odprowadzić do urzędu skarbowego 45 proc. – ale i tak sporo zostanie dla Mai, która już zapowiedziała, że pieniądze zainwestuje w siebie i swoją tenisową karierę. Co najmniej przez rok nie musi się martwić o kasę.

Skoro menedżer Mai Chwalińskiej mówi o zainteresowaniu sponsorów, teraz jej przychody zaczną wzrastać nawet bez gry. Jeśli zawodniczka dobrze się „sprzedaje” w telewizji i na okładkach magazynów, mogą to być duże pieniądze. Ale i duże zagrożenia.

Brytyjska tenisistka rumuńsko-chińskiego pochodzenia Emma Raducanu wygrała wielkoszlemowy turniej US Open w 2021 r. To była jeszcze większa sensacja niż finał naszej Mai w Paryżu. Do dziewczyny o oryginalnej urodzie ustawili się w kolejce najwięksi sponsorzy, m.in. Christian Dior, Porsche, Tiffany. Ale tenisowo gwiazda stała się na powrót „Panną Nikt”, bo zapomniała, że nadal trzeba trenować. Nie, Mai to nie grozi. Nie tej fajnej dziewczynie (sorry, nie dziewczynie, ale pani) z Dąbrowy Górniczej.

Biznes jest biznes

Człowiek bywa przekorny. Korciło mnie, żeby napisać o czymś innym, zwłaszcza że rzadko komentuję aktualne wydarzenia sportowe, każdy może je obejrzeć w telewizji. Tym bardziej iż o Mai Chwalińskiej napisano bardzo dużo, a jej uroczy uśmiech widniał na fotografiach w gazetach. Maja kupiła jednak i moje serce. Teraz będę oglądać każdy dostępny jej mecz i gorąco kibicować. Obiecuję.

Inna sprawa, że na to jeszcze zaczekam, podobnie jak wszyscy miłośnicy talentu Mai. Menedżer Piotr Szczypka wypisał swoją podopieczną ze wszystkich najbliższych turniejów. Musi odpocząć, zbierać siły na Wimbledon. Jeszcze nie wiadomo, czy znów nie przyjdzie jej przedzierać się przez kwalifikacje. Nieszczęście polega na tym, że skład tenisistek w najsłynniejszym turnieju ustalano przed Rolandem Garrosem. Teraz miejsce w głównej drabince już by się należało, ale jest za późno. Jedyna nadzieja, że przyznana jej zostanie tzw. dzika karta, czyli prawo startu bez konieczności rozgrywania kwalifikacji. Wystąpił już o to Polski Związek Tenisowy. Szanse nie są jednak duże. Maja Chwalińska kupiła wiele serc, ale serca angielskiej federacji tenisowej organizującej Wimbledon mogą okazać się z kamienia. Sorry Winnetou, biznes jest biznes – jak powiedział w dowcipie z czasów komuny uczeń do swojego idola, gdy na pytanie nauczycielki o największego przyjaciela dzieci odpowiedział: Lenin.

Biznes jest biznes. Jeśli Wenus Williams zechce zagrać w turnieju głównym Wimbledonu, komercyjne względy wygrają z dziecięcym uśmiechem i nietypowym, porywającym, inteligentnym stylem gry naszej tenisistki.

Tak czy tak, mecz zwycięzczyni Wimbledonu Igi Świątek z nową bohaterka narodową Mają Chwalińską jest możliwy. A wyobrażacie sobie taki finał? Ja już sam nie wiem.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 10.06.2026 r.

„NIE” w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl b1eaaf6b5b

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Miał być pisowskim lekiem na całe zło, a jest miękkim leszczem. Miał zniechęcić wyborców do Brauna i Mentzena, lecz wzbudził sympatię do liberalnego centrum u tych, którzy do niedawna popierali prawicę. Miał być ponad Morawieckim, a jest gdzieś między Sasinem i Błaszczakiem. Miał być premierem jutra, a jest żałosnym symbolem wczoraj, może nawet przedwczoraj.

Przemysław Czarnek – symbol niespełnionych nadziei w świecie miernot i zawistników.

Gdyby pił, to by się napił. Gdyby ćpał, to wciągnąłby kreskę. Gdyby był seksoholikiem, to urządziłby orgię w stylu starorzymskim. Gdyby grał w tenisa, to by rzucił wyzwanie Mai Chwalińskiej. Ale jest tym, kim jest, choć inni biorą go za zupełnie kogo innego. Jest uważany na chama i prostaka, a przecież ulega uniesieniom rozumu wywołanym wierszami Herberta i drży mu serce podczas lektury Szymborskiej. Mówi oze-sroze, chociaż myśli Leśmianem i Poświatowską. Otacza się indywiduami typu Mejza i Kowalski, a tęskni to skarbów Luwru, Prado i British Museum.

– Nie musisz być politykiem, masz fach w ręku i śpiewająco poradzisz sobie na rynku pracy – powiedział do siebie, nie mogąc sobie przypomnieć tego, jaki to fach ma w ręku.

– Jesteś profesorem – przypomniał sam sobie. – Chemii? Fizyki? Elektroniki? Informatyki?

Nie. Coś bliższego ludzi, coś bardziej ulotnego i wzniosłego jednocześnie.

– Prawo – głośno podpowiedziała mu pamięć.

Poczuł się rozczarowany. Może i był profesorem prawa, ale to nie oznaczało, że mógłby być wybitnym adwokatem, uznanym prokuratorem lub szanowanym sędzią.

Prawda była bezwzględna: był tylko politykiem i będzie politykiem. Z Chwalińską przegrałby nawet w bierki.

Zaterkotała komórka. Dzwonił prezes. Czarnek odebrał, bo nawet do głowy mu nie przyszło, że mógłby nie odebrać.

– Musisz być bardziej antyniemiecki – zaczął rozkazywać Kaczyński – antyfrancuski, antyangielski i oczywiście antyukraiński.

Czarnek sięgnął po notes, żeby zapisać i nie zapomnieć.

– Człowiek nie ma wpływu na klimat, a Zielony Ład to bajka dla idiotów.

„Bajka dla idiotów" – napisał Czarnek.

– Tusk pójdzie do piekła – ciągnął prezes coraz bardziej podniesionym głosem. – Jest bestią, zionie ogniem, ma ogon, rogi i wytatuowane trzy szóstki.

„666" – zapisał Czarnek.

– Belzebub! – wrzeszczał Kaczyński. – Lucyfer! Czart, bies i demon! Antychryyyyyst!

„Wariat" – zanotował Czarnek i pomyślał, że jednak mógłby być marnym adwokatem i przegrać z Chwalińską w warcaby.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN i **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** spotkały się na inauguracji Nowej Fali, a teraz jeszcze je czeka Parada Równości. W końcu się sobą znudzą.

Senyszyn: – Na początek: bardzo dziękuję wszystkim, którzy spotkali się z nami na Placu Zbawiciela, wzięli udział w inauguracji partii, a potem poszli z nami na piwo i pizzę.

Wołk-Łaniewska: – Fajnie było, tylko mało były słychać.

– Oj, dajże już spokój z tym swoim malkontenctwem. Posłuchasz mnie w sobotę na Paradzie Równości, tam nagłośnienie będzie jak złoto.

– A co tam będziesz mówić?

– Będę udzielać ślubu.

– To pamiętaj, żeby przekazać panom – czy paniom – młodym nieśmiertelną mądrość na temat małżeństwa, którą dyskretnie wplątam w każdy moje życzenia ślubne. Żeby potem nie było do ciebie pretensji.

– A owa mądrość to…?

– Kto się ożenił, rozwieść się musi.

– Wcale nie musi, na co jestem żywym dowodem. Przeżyliśmy z Bolem pół wieku. Za to absolutnie prawdziwe jest adwokackie powiedzenie, że powodem rozwodów jest małżeństwo. Na szczęście mam receptę na trwałe: we właściwym czasie trzeba spotkać odpowiedniego mężczyznę, a potem nie spotkać odpowiedniejszego.

– Ja spotkałam wielu odpowiednich. Tylko z reguły byli żonaci…

– Widać, nie spotkałaś ich we właściwym czasie.

– I chwała nieistniejącemu, bo by poszli siedzieć.

– A to dlaczego?

– No bo to by było tak jakoś w przedszkolu.

– To byście sobie wisieli na trzepaku. I za co tu siedzieć?

– Bo to tylko ja bym była w przedszkolu. Oni jakoś tak świeżo po studiach. Zawsze uważałam, że optymalna różnica wieku wynosi 19 lat. Mężczyźni tak wolno dojrzewają…

– Niektórzy w ogóle. Ale szybciej od nas się starzeją i żyją średnio kilka lat krócej. Dlatego coraz więcej kobiet wybiera sobie młodszych partnerów. Już w co piątym małżeństwie żona jest starsza od męża, a w związkach nieformalnych jeszcze częściej. Ty w kwestiach relacji damsko-męskich masz przedwojenną mentalność, i to chyba sprzed wojny francusko-pruskiej. A ponieważ lubisz facetów o dwie dekady starszych od siebie, statystycznie nie masz już żadnych szans, bo średnia życia mężczyzn w Polsce wynosi 74,7 lat. A Ty, nie wymawiając, skończyłaś 54. Jak nie zmienisz upodobań, czeka cię singielstwo.

– Tak, to jest taka groźba namiętnie powtarzana w manosferze: jak kobiety nie obniżą swoich standardów, to skończą samotnie.

– Ja ci raczej podwyższyłam standardy, ale mów dalej…

– Femosfera dopowiada: skończą samotnie, w swoich pięknych, zadbanych mieszkaniach, z czystymi łazienkami, przyjaciółkami, winem i świętym spokojem. I jest jeszcze spora szansa, że bez dzieci…

– Bezdzietność wynika z czego innego. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale na ten temat toczy się obecnie w środowiskach konserwatywnych ożywiona dyskusja. Jarosław Kaczyński uważa, że dzieci jest mało, bo kobiety dają w szyję, a Sławomir Mentzen – że to dlatego, że młodzi ludzie za mało piją alkoholu… Co daje nam nadzieję na to, że PiS z Konfederacją się jednak nie dogadają.

– À propos dzieci – bo może kogoś z Czytelników ta gównoburza ominęła. Rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak, piastująca ten urząd z ramienia koalicji rządzącej, wystosowała do właścicielki lodziarni w Pszczynie list, w którym ją pouczyła, że częstowanie darmowymi lodami za świadectwo z czerwonym paskiem „dzieli dzieci ze względu na ich osiągnięcia edukacyjne"… I jeszcze dodała, że „koncentrowanie się na ocenach jako kryterium nagradzania może prowadzić do niepotrzebnej presji wśród osób uczniowskich". „Osoby uczniowskie" mnie ujęły…

– Chyba jej rozum odebrało, że skrytykowała nagradzanie darmowymi lodami za świadectwo z czerwonym paskiem. Podobną głupotę słyszałam 20 lat temu z ust pisowskiej rzeczniczki Ewy Sowińskiej, która sprawdzała, czy bajka dla dzieci o Teletubisiach nie promuje homoseksualności, skoro jeden z bohaterów, Tinky Winky, nosi damską torebkę. Jak widać, mentalny PO–PiS wiecznie żywy.

– I do tego jeszcze Horna-Cieślak, w ramach zarządzania kryzysem, udała się do Pszczyny, gdzie sfotografowała się z właścicielką inkryminowanej lodziarni i napisała w socjalach: „Poziom absurdalnej manipulacji wobec p. Joli i mnie osiągnął niebywałe szczyty".



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– To kłamstwo. Oberwała tylko rzeczniczka – i słusznie, skoro nie rozumie, że trzeba nagradzać wyniki w nauce. Swoją drogą ciekawe, czy będzie konsekwentna i wystąpi z wnioskiem o likwidację czerwonego paska. Natomiast właścicielka lodziarni nie była obiektem ani manipulacji, ani ataków, bo zrobiła świetną rzecz dla promowania uczniowskich osiągnięć. Powinna być wzorem dla innych. Nie tylko lodziarni.

– No dobra, to teraz będę robić za adwokata diabła…

– Dawaj.

– Otóż Polsat News, donosząc o tym idiotycznym wybryku Horny-Cieślak, opatrzył to następującym komentarzem: „Pytanie o to, czy hasło »inkluzywność wśród uczniów« oznacza równanie w dół przez tych najlepszych do tych najgorszych, którym się nie chce uczyć i wolą zamiast edukacji pograć na swoim smartfonie". Jak słyszę coś takiego, to sobie myślę, że może rzeczywiście trzeba uważać, żeby nie dyskryminować tych bez czerwonego paska. Są wszak dziesiątki powodów jego braku – i mówię to jako osoba, która czerwonego paska w życiu nie miała…

– Ja też nie.

– Ty? Serio? Przecież na pewno uczyłaś się wybitnie.

– Owszem. Ale świadectwa z czerwonym paskiem wprowadzono dopiero w 1977 r.

– Czyli mniej więcej wtedy, kiedy ja szłam do szkoły. Ale nie miałam, bo mi się nie chciało uczyć. Natomiast na smarfonie nie grałam!

– Myślisz, że może to mieć jakiś związek z faktem, że smartfony nie zostały jeszcze wynalezione?

– Ale niedefinitywny. Teraz są i też nie gram. Podobnie jak w tenisa…

– A co to ma do rzeczy?

– Nic, tylko teraz wszyscy mówią o tenisie, to ja też coś chciałam.

– Mówią, bo mamy nową gwiazdę i trzeba się cieszyć, że jest ich coraz więcej. Żeby tylko nie było jak w ludowym powiedzeniu: „nowe sito na kołek, stare sito pod stołek".

– To ja znów muszę powiedzieć coś na przekór: Maja Chwalińska jest sympatyczną młodą kobietą, która ma talent, wykonała ogromną pracę i wygląda na to, że – póki co – jej jeszcze nie odbiło. Ale nie widzę żadnego powodu, dla którego miałaby nie płacić podatku od 6 mln zł, które dostała za finał Rolland Garros. Uważam, że jak ktoś przytula sześć baniek, to powinien płacić podatek, kropka.

– Ona ponoć już zapłaciła, i słusznie. Pomysł, żeby podatki płacili biedni, a bogaci byli zwalniani, jest niedopuszczalny. Dziwię się ministrowi Domańskiemu, że chce rozmawiać ze swoim francuskim odpowiednikiem o uldze dla Mai. Niech się zajmie podniesieniem progu zwolnienia od podatku do 60 tys. zł.

– Pod warunkiem że wcześniej zlikwiduje ryczałty, fundacje rodzinne i wszystkie te przekręty, które sprawiają, że milionerzy płacą najmniej albo w ogóle. Wracając do tenisa: jeszcze jedna kwestia mnie zirytowała, za którą Chwalińska też nie odpowiada, choć jest jej źródłem. Otóż Polsat zaczął uprawiać ciotodramę…

– Bez homofobii proszę.

– Niech ci będzie: gównoburzę – w związku z kortami, na których Maja uczyła się grać w Dąbrowie Górniczej, a teraz są zarośnięte chwastami i w likwidacji, bo miasto postanowiło tam postawić TBS. Z całą sympatią dla tenisa – którego skądinąd nie lubię – 100 mieszkań społecznych jest ważniejsze od dwóch kortów tenisowych. Wiec kibicuję Dąbrowie Górniczej.

– Byle nie tamtejszemu Kościołowi kat. A miastu jak najbardziej. Zwłaszcza że od początku wspierało talent Mai Chwalińskiej i dało jej stypendium sportowe.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl b1eaaf6b5b